№ 32 Warszawa, dnia 26 Lipca (7 Sierpnia) roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Z WYCIECZKI

Na Święty Krzyż i w Kieleckie.

Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

(Dalszy ciąg).

W kościołku Janowieckim, starym, ale czysto i schludnie utrzymanym, znajdują się portrety rodziny Piaskowskich i tablice pośmiertne Osławskich.

W podziemiach zaś kościelnych mieszczą się groby Tarłów. Z przybytków przeszłości zwracaliśmy w szczupłem, lecz ożywionem gronku, do Oblas. Tu już weselej. W obszernym dworze Obleskim życie silniejszem uderza tętnem. W miejscowości tej, odznaczającej się prześlicznem położeniem, niegdyś jak powiadają, utrzymywano psiarnię pałacową. Ztąd też nieraz zapewne spory hufiec myśliwych wyjeżdżał na łowy. Rozlegały się tu krzyki dojeżdżaczy, ztąd grzmiały rogi po kniejach, roiły się koncepty dworzan, a u stóp pańskich kładła w boru zwierzyna. Dzisiaj Oblasy wspaniały posiadają park, a wytryskujące w ogrodzie źródełka czystej jak łza wody, odznaczają się smakiem cierpkim, co świadczy o znacznej ilości zawierającego się w nich żelaza. Bawiło tu latem parę rodzin z Warszawy i Radomia na kuracyi kąpielowej w Wiśle. Przychodziło nam nieraz do głowy, czyby też — gdy urządzono już w Nałęczowie Zakład Leczniczy, nie wypadało porozumieć się z medykami Warszawskiemi, przedstawić im do rozbioru wodę i próbować szczęścia?... Któregoś wreszcie pięknego poranku puściłem się z Oblas w dalszą wędrówkę po kraju. Wciąż przerzynając się Powiślem, jechałem przez Lipsko, dawniej miasteczko, dziś osadę, zamieszkałą przez plemię izraelskie przeważnie, zawadziłem też i o Sienno, gniazdo zasłużonej w dziejach rodziny Sienińkich, herbu Dębno. W Siennie przypomniała mi się dowcipna uwaga Dumas'a o wielkim deszczu w mikroskopijnem księztwie Monaco. W istocie w małem Siennie tak znakomite zastałem błoto w Lipcu, jakiegoby się nie powstydził i Hrubieszów np. w Listopadzie. Drogi przytem pełne dziur i wybojów wszędzie. Na zapytanie moje, jak zaniedbać mogą tak dalece mieszkańcy drogi swe i komunikacye, w miasteczku zwłaszcza handlowem? skrobiąc się w głowę, odparł jak to mówią jakiś łyk:

— Ktoby się tu kłopotał o drogi, kiedy od wieków więcej tu narodu, niż panów jeździ.

— Więc łamać chcecie karki? oburzyłem się dziwną logiką.

— A ino? łamali je ojcowie, to i cóż my lepszego...—brzmiała odpowiedź.

Z Sienna, w którem nic, prócz starożytnego, w XV wieku erygowanego przez Oleśnickich kościoła, nie zwróciło naszej uwagi, przez Wolę Sieńską i mały jakiś przejeżdżający folwarczek, zboczywszy z gościńca, wstąpiłem w dziedzinę Fauny Iłżeckiej. Wspaniałe-to być musiały bory i puszcze przed laty, kiedy dziś jeszcze, gdy siekiera przemysłowca bój stacza zawzięty z potomstwem prastarych tytanów, miejscami tajemniczą jakąś, pełną grozy postacią, imponują nam one. Całe legiony olbrzymich dębów, rozłożystych lip, grabów i wiązów, w fantastycznych splotach swych mogły ukrywać niejedną jeszcze Dryjadę, opiekuńczą. Słońce, zataczając się za widnokrąg, złociło wierzchołki drzew, podczas gdy na ziemi szarej już mrok rozpościerał się coraz bardziej. Krętemi ścieżkami, wypatrując wraz z woźnicą śladów drogi leśnej, nie łatwej do orjentowania się przy zbiegu w zygzaki wijących się manowców, jechaliśmy zwolna. Niekiedy grzybek jakiś ponętny zajrzał nam w oczy figlarnie, to znowu zaszeleściało coś w krzakach. Zwierz-że to leśny układał się do spoczynku? Kto wie? być może, w ucieczce mylił on raczej pogoń trapiącego bezlitośnie mieszkańców kniei, raubschütza? Wieczorem już wreszcie stanąłem u zamierzonego celu. Po kilku godzinach leśnej wędrówki na mrocznem tle blado oświetlonej srebrnym promykiem księżyca wesołej polanki zarysowała mi się posada Leśniczego Straży Myszki.

Straż Myszki czyli Kaplica, w odludnym, wśródku lasów, zdala od wsi okolicznych położona zakącie, nader sympatycznie się przedstawia spragnionemu ciszy i spoczynku mieszczuchowi. Domek Podleśnego wdzięcznie otaczają w pewnej odległości ugrupowane chatki sągarzy, trudniących się rąbaniem i wyróbką drzewa do fabryk.

Rozgościwszy się w Myszkach, całemi dniami błąkałem się po kniei, towarzyszył mi zwykle gospodarz mój, Nemrod prawdziwy, co lasów tutejszych strzegąc, znał je wybornie i zrósł się duszą z niemi. Flinta na ramieniu, para skomlących u nóg ogarów, szmer lasów, ta niby duchów rozmowa, toż cała poezya! Marzyć tu tylko, śmiejąc się, jak drugi Demokryt, z głupstw ludzkich!... W pobliżu kwatery Leśniczego, tuż za chatkami sągarzy, przy gościńcu do Ostrowca wiodącym, wznosi się w lesie mała kapliczka murowana. Stara to pamiątka; niemało krąży o niej podań wśród ludu, a nawet straż leśna bierze od niej swą nazwę: „Kaplica".

Kapliczka czysto obielona, ani strukturą, ani żadną znajdującą się wewnątrz nie uderza osobliwością. Na frontonie jej, do lasu zwróconym, znajdują się jeszcze szczątki, ile się zdaje herbu Leliwa, do wielu w Polsce należącego rodzin, i data wzniesienia kapliczki, 1430-ta oznaczająca lato pańskie. Jak widzimy przeto, odległej to wszystko sięga epo-

ki Władysława Jagiełły jeszcze czasów. Widocznie, okoliczni mieszkańcy mają pieczę około kapliczki, gdyż dźwigana wielokroć z upadku, w latach 1847 i 1877 odświeżana całkiem, trzyma się jeszcze wybornie. Wewnątrz, w ołtarzu znajduje się tu statuetka Ś-tej Katarzyny, nie szczególnego zresztą dłuta. W kapliczce nie ma drzwi, lubo miały się w niej skarby jakieś znaczne przechowywać. Przywiązane do kapliczki podanie, niesie, iż w XV wieku jeszcze, gdy przez puszczę Iłżecką, że sławnymi w kraju Ś-to Krzyzkiemi łączącą się lasami, prowadził trakt z Krakowa do Warszawy panowie jadący kolebką, z orszakiem dworzan i służby, niekiedy zaś uboższa szlachta i lud wiejski, na jarmarki zdążając konno lub wozami, prawie ciągle, napastowani bywali w tych lasach przez uwijających się tu łotrzyków i lada jaką hałastrę, chciwą grosza i skromnych bodaj łupów. I owóż zdarzyło się, iż przejeżdżająca kiedyś do dóbr swoich, w Iłżeckiem położonych, bogata jakaś dziedziczka, Wojewodzianka pono, napadniętą tu została przez zbójców. Z obu stron padły strzały, otoczono powóz, walka wrzała w najlepsze, dzielni hajducy broniąc swej pani, tuż obok niej pomost z ciał swoich usłali... reszta, drogo przynajmniej życie swe sprzedać postanowiła. Na raz staje w szeregach mąż silnej dłoni, rycerskiego pełen animuszu. Rąbie w prawo i lewo, sam ciosów unikając. Zagrzani słowem i przykładem nieustraszonego obrońcy, słudzy wojewodzianki wytężają siły, i cudów prawie dokazując, kładą trupem przywódcę rabusiów. Pozbawiona wodza szajka niecników, rozprasza się i niknie w gąszczy boru, rynsztunek i łupy w ręku pozostawiając zwycięzców. Wojewodzianka ocalona, bladą jak chusta wynoszą dworzanie, skronie i lica wodą skrapiają źródlaną... Ochłonąwszy z przestrachu, Wojewodzianka poznać pragnie szlachetnego wybawcę. Posłuszny jej woli nazywa się rycerz po imieniu i klejnocie. Człek to już niemłody, olbrzymiego wzrostu, atletycznej siły. Z opowiadania jego pokazuje się, iż długie lata na wojaczce i ustawicznych z Krzyżakami i Tatarami spędziwszy utarczkach, styrany i zniechęcony do świata, w rodzinne zawędrował wreszcie progi. Po cóż? zadawał sobie pytanie nasz Bajard... Po to, by zgliszcza tylko i rumowisko na miejscu ojczystej znaleźć zagrody!

— Rękawem, miłościwa pani, łzę otarłszy, co z oczu mi popłynęła, westchnąwszy za duszę rodziców na puszczy tu osiadłem. Jąłem się pracy... boru pilnuję, dożywając wieku... Taką była cała jego historya...

Wysłuchawszy prostej opowieści rycerza, Wojewodzianka rękę mu swoją w uniesieniu wdzięczności ofiaruje. Bogate z tą rączką łączy się wiano! Dzielny atoli sługa Marsa nie przyjął tak wielkiej ofiary. Jedynie tylko, gwoli upamiętnienia wypadku, wzniosła można pani kapliczkę w tem miejscu. Cóż więcej? spytacie. A cóż?

„Świat uraganem...
„Czas oceanem ..
„Tyś łódką, blizką rozbicia“.

Odpowiem słowem poety. Minęły wieki, prochy szlachcica wiatry już może rozniosły? zginęło imię. Któż dziś zresztą i córę karmazynów pamięta.

(d. c. n.)

Żniwiareczki.

Na szerokie na przestworze
Porankowa spadła rosa,
A jak bujne fale morza,
Szumi niwa złotokłosa.
Szemrzą kłosy chwałę Bogu
Gdy się po nich wietrzyk błąka,
Poraż, pora im do brogu,
Bo już lato w sierpy brząka.

Żniwiareczko, kochaneczko,
Wprawiaj dłoń!
Hej do żniwa, a z piosneczką
W sierpek dzwoń!
Nuże, nuże garście w snopy,
Snopy w mędle, mędle w kopy!

Gdy w niedzielę rano, rano,
Szept ten kłosów podsłuchano,
W poniedziałek już o świcie
Żniwiareczki są na życie.
Chociaż słońce im przygrzewa,
Każdą żnie i każda śpiewa;
Po cóż bać się tych promieni,
Od nich liczko się rumiani.

Żniwiareczko, kochaneczko,
Wprawiaj dłoń,
Hej do żniwa, a z piosneczką
W sierpek dzwoń!
Nuże, nuże garście w snopy,
Snopy w mędle, mędle w kopy!

Kłosy bujne, bo niebiosa
Wyrościły je na niwie,
Wykarmiła chłodna rosa,
Wykołysał wiatr szczęśliwie.
Przyszła pora, żąć je trzeba,
A gdy będzie niwa zżęta,
To nie brak nam będzie chleba,
Bóg dopomóż wam dziewczęta!

Żniwiareczko, kochaneczko,
Wprawiaj dłoń!
Hej do żniwa! a z piosneczką
W sierpek dzwoń!
Nuże, nuże garście w snopy,
Snopy w mędle, mędle w kopy!

Bóg dopomóż krasawice!
Gdyście takie robotnice
Nie leniwe, hoże, młode,
To będziecie mieć nagrodę.
Kończcie żniwo, wijcie wieńce,
Na dożynkach zaś młodzieńce
Wam oddadzą za te znoje
Serca swoje, niwy swoje.

Żniwiareczko, kochaneczko,
Wprawiaj dłoń!
Hej do żniwa, a z piosneczką
W sierpek dzwoń!
Nuże, nuże garście w snopy,
Snopy w mędle, mędle w kopy!

Autor pamiątek z Litwy.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

VI.

Czytając czwarty list pani de Lorcy, pan Moriaz doznał uczucia radości i ulgi, nad którem nie mógł zapanować. Antonina wyszła właśnie w celu oddania wizyty w sąsiedztwie, pan Moriaz był w pokoju sam z panną Moiseney, która zapytała go ciekawie:—Odebrałeś pan widać bardzo dobre wiadomości?

— Doskonałe, wyborne, odrzekł, lecz po chwili miarkując swój zapał dodał:—Dobre lub złe, jak kto chce uważać.

Skończywszy czytać włożył napowrót list w kopertę i zamyślił się głęboko, szukał sposobu oznajmienia córce tej wybornej wiadomości. Od trzech tygodni postępowanie Antoniny było dla niego zagadką. Ani razu nie wymówiła imienia pana Laryńskiego, Churwalden zarówno podobał się jej jak Saint Moritz, była pozornie wesołą, swobodną i szczęśliwą.

— Czy się uspokoiła? Czy może rozmyśliła się już? Pan Moriaz nie wiedział tego dokładnie, wiedział tylko, że trzeba się wystrzegać stojącej wody, a także nie zapominał o tem, że wyobraźnia dziewczęca, jest czasem niezgłębioną odchłanią. Teraz lękał się wszystkiego.—Jeźli jej to powiem z trudnością przyjdzie mi ukryć radość moją, a nuż dostanie nerwowego ataku. Nienawidził nerwów i ich objawów postanowił, więc użyć za pośredniczkę w tej sprawie pannę Moiseney i dlatego zagadnął ją niespodzianie:

— Sądzę, że pani wiesz o wszystkiem, że Antosia zwierzyła ci się.

Stara panna otwarła szeroko zdziwione oczy i chciała wyznać, że nic a nic nie wie, gdy błysła jej myśl inna, a podniosszy dumnie spuszczoną dotąd głowę, rzekła:—Czy myślisz pan, że Antosia ukrywa kiedykolwiek przedemną co myśli i czuje?

— Niech mnie Bóg broni cd takiego posądzenia! odrzekł pan Moriaz. I pani pochwalasz i zachęcasz jej uczucia dla pana Laryńskiego? Panna Moiseney podskoczyła na stołku; była o tysiąc mil od przypuszczenia, aby pan Laryński wzniecił w pannie Moriaz, jakiebądź silniejsze uczucie, a że myśl jej często galopowała w przyszłość, ujrzała natychmiast wszystkie następstwa mogące ztąd wyniknąć. Oczy jej pokryła szara chmura, a w tej chmurze ukazało się wiele rzeczy, które nie pochwalała, lub które nęciły ją ku sobie, otworzywszy usta szeroko patrzała w ten chaos, starając się dojść do porządku, z własnemi myślami.

— Nie, to być nie może, to nie jest prawdą, mówiła do siebie samej—lecz po chwili myślała znowu: Antonina i królowa angielska mylić się nie mogą, kiedy ona tego chce, tak być musi. Wreszcie panna Moiseney odzyskała przytomność, a przywoławszy na usta najwdzięczniejszy uśmiech zawołała:

— Nie ma co prawda majątku, ale co za nazwisko: hrabina Laryńska! to ładnie brzmi.

— Przyznaję, że dźwięk ma nie zły, odrzekł pan Moriaz, ale na nieszczęście, dźwięki nie stanowią głównej treści życia.

Ale ona nie słuchała go wcale.—Niech pan wierzy lub nie, ciągnęła dalej, ale ja dawno już przewidziałam to małżeństwo. Miewam dziwne przeczucia, które mnie nigdy nie mylą, wiedziałam zaraz, że się na tem skończy. Cóż to za piękna będzie para! Czy sobie ich pan wyobrażasz siedzących w otwartym powozie, lub wchodzących do loży wielkiego teatru? Jak będą na siebie zwracać uwagę wszystkich. Pomyśl pan, że do tego przyłożyłam też ręki. Gdy pierwszy raz w życiu zobaczyłam pana Laryńskiego, poznałam zaraz, że jest to człowiek niezrównany...

— Poznałaś to pani po sposobie jedzenia, przerwał pan Moriaz, przynosi to prawdziwy zaszczyt twej przenikliwości.

— Zapytaj pan Antosi, czy tego samego wieczoru nie mówiłam jej z uwielbieniem o pięknym nieznajomym. Ona znalazła, że ma za krótką szyję! Ah byłam pewna, że się to tak skończy. Chcesz pan doświadczyć moją domyślność? Oto list, który przyniósł tak dobre wiadomości, jest od hrabiego, prosi on w nim o rękę Antoniny. Zaraz to odgadłam. O panie jakże podzielam twą radość. Otóż to wymarzony przezemnie mąż dla twojej córki, człowiek wyższy nad ogół, a przytem taki szczery, tak łatwy w obejściu.

— Czy pani jesteś przekonaną o jego szczerości, zapytał pan Moriaz, wachlując się złożonym listem.

— Opowiedział nam przecież historyą swego życia, czy wielu ludzi uczynićby mogło podobne wyznanie?

— Zajmująca historya, to prawda, żałuję tylko że w tem opowiadaniu, pominiętym został jeden szczegół, który byłby nas mocno zajął.

— Czy szczegół ten rzuca cień na charakter hrabiego? zapytała podnosząc na pana Moriaz swe piwne oczy.

— Przeciwnie, jest to okoliczność przynosząca mu zaszczyt, za którą nawet jestem mu bardzo wdzięczny. Bądź pani przekonaną, że radbym mieć zięcia z twej poręki i dać mej córce za męża człowieka, którego zalety pierwsza odgadłaś. Na nieszczęście zdaje mi się że to małżeństwo nie przyjdzie do skutku, widzę bowiem małą przeszkodę...

— Jaką?

— Hr. Laryński zapomniał uprzedzić nas, że jest żonaty.

Panna Moiseney jęknęła boleśnie. Pan Moriaz podał jej list pani de Lorcy, jedna chwila zniweczyła marzenia i plany tak szybko usnute.

— Nie rozpaczaj pani, rzekł pan Moriaz, odwagi, odwagi, idź za moim przykładem, pogodź się z rzeczywistością; ale powiedz mi pani, jak Antosia przyjmie tę wiadomość?

— Będzie to dla niej cios okropny, odparła panna Moiseney, ona go tak bardzo kocha!

— Zkąd pani to wiesz, kiedy ona nie uznała za stosowne mówić ci o tem?

— Spostrzegłam to sama. Biedna, ukochana Antosia, trzeba bardzo ostrożnie wziąć się do rzeczy, i ja jedna o ile mi się zdaje..

— I ja tak myślę, odparł szybko pan Moriaz, pani sama potrafisz zrobić tę operacyę, oszczędzając chorej bólu. Jesteś tak zręczną! masz tak lekką rękę. Polecam to pani, wiem że wywiążesz się dobrze z zadania.

To mówiąc wybiegł do ogrodu, bez laski, bez kapelusza, trochę niespokojny o to co się będzie dalej działo, ale nadto uradowany, aby przyjąć na siebie rolę pocieszyciela.

W krótką chwilę potem, panna Moriaz powróciła ze swej wycieczki, z rumieńcem na licu, opromieniona szczęściem, śpiewała wesołą piosenkę, niosąc snop polnych kwiatów na ręku. Panna Moiseney postąpiła kilka kroków ku wchodzącej z pochyloną głową i chmurą na czole. Antoninę uderzył wyraz przerażenia malujący się na jej twarzy.

— Co tobie, moja droga? zapytała, wyglądasz jak po pogrzebie.

— Niestety mam ci donieść smutną wiadomość, odrzekła zagadnięta.

— Czyś odebrała list z Cormeilles, w którym ci donoszą, że twoja papuga zdechła?

— Ach! moje dziecię, bądź rozsądną, bądź mężną uzbrój się w odwagę i siłę...

— Na miłość Boską, o co chodzi?

— Czemuż nie mogę oszczędzić ci tej boleści!... Twój ojciec odebrał przed chwilą list od pani de Lorcy.

Antonina przestała żartować, oddech jej stał się krótszy.—I cóż list ten zawiera tak strasznego? zapytała, zmuszając się do uśmiechu.

— Szczęściem jestem przy tobie, mówiła dalej panna Moiseney. Wiesz, że twoje cierpienia, są zarówno mojemi. Wszystkie pociechy zawarte w życzliwem sercu...

— Ach moja droga, na litość wytłomacz się najprzód, a później dopiero pocieszaj.

— Nic mi o tem nie mówiłaś, moje dziecko, mogłoby mi to być bardzo bolesnem, jednak ja wszystko odgadłam. Umiem czytać w twojem sercu, byłam pewną że go kochasz.

— O kim mówisz? zapytała Antonina, której lica oblał żywy rumieniec.

— O człowieku bardzo uroczym, który przez niepojętą lekkomyślność, czy przez nikczemne wyrachowanie, nie powiedział nam, że jest żonaty.

Mówiąc to panna Moiseney wyciągnęła ręce aby przyjąć na swe łono zemdloną Antoninę. Lecz panna Moriaz nie upadła. Po rumieńcu, bladość pokryła jej oblicze, lecz stała ciągle z dumnie podniesioną głową i tylko półgłosem rzekła:

— Ach! pan Laryński jest ożeniony?... winszuję hrabinie Laryńskiej.

Zbliżywszy się do stołu zaczęła układać przyniesione kwiaty, w porcelanowym wazonie. Panna Moiseney patrzyła na nią ze zdumieniem, aż nareszcie wykrzyknęła:

— Bogu dzięki nie kochałaś go nigdy! Twój ojciec się omylił, on się często myli; wyobraża sobie czasem rzeczy całkiem nie prawdo-podobne, myślał że wiadomość ta będzie dla ciebie śmiertelnym ciosem, jak on cię mało zna. Co prawda pan Laryński nie jest wcale najgorzej, ma on swoje zalety, ale zawsze zdawał mi się być trochę podejrzanym. Jego postępowanie jest niejasne, wygląda jakby ciągle chciał coś ukrywać. Podobno żeniąc się zrobił kapitalne głupstwo, do którego nie lubi się przyznawać. Wielka-to szkoda że człowiek tak gładki z pozoru, ma tak pospolite gusta. Obowiązkiem jego było powiedzieć nam całą prawdę, postąpił nieszlachetnie i nie uczciwie.

— Mylisz się moja droga, jakież prawo boskie, lub ludzkie, zmuszało pana Laryńskiego, spowiadać nam się ze wszystkich swych czynów. Czy chciałaś być jego spowiednikiem?

To mówiąc zdjęła kapelusz i okrywkę a wziąwszy do ręki książkę, siadła przy oknie i zaczęła czytać z wielką uwagą.

— Bogu dzięki, nie kocha go, myślała panna Moiseney, która nie zwróciła na to uwagi, że Antonina przewracała na raz po trzy kartki, nie spostrzegając tego nawet. Mimo zajęcia z jakiem czytała trzymaną w ręku książkę, usłyszała zdaleka kroki ojca wchodzącego na schody i pobiegła ku niemu. Pan Moriaz dostrzegł z przyjemnością, że oczy jej nie były zaczerwienione, lecz zadowolenie jego zmniejszyło się, gdy powiedziała mu głosem pewnym i czystym:—Czy mogę prosić cię ojcze o pokazanie mi listu pani de Lorcy?

— Na co? odparł professor, umiem go na pamięć i mogę ci wszystko powtórzyć.

— Czy list ten nie da się czytać?

— Owszem; ale kiedy umiem go na pamięć, wolę ci powtórzyć treść jego!..

— Wolałabym czytać własnemi oczyma.

— Wreszcie niech będzie, jak ci się podoba. Oto jest, czytaj, ale niezastanawiaj się za długo nad niektóremi wyrazami.

— Pani de Lorcy potrafi zawsze dobierać słów określających jasno jej myśli.

Przebiegłszy oczyma ośm stron listu, Antonina uśmiechnęła się.—Przyznaj ojcze, rzekła, żeś znalazł w pani de Lorcy bardzo użytecznego sprzymierzeńca; oddaj jej sprawiedliwość, pracowała dobrze i skrzętnie, aby usunąć jak najdalej, tego nie porównanego człowieka, jak się sama wyraziła.

Pan Moriaz oburzył się.—Więc ci się zdaje, rzekł, że jest to tylko intryga usnuta przezemnie i przez panią de Lorcy, myślisz, że byłbym zdolny należeć do tak nikczemnej sprawy?

— Broń Boże! posądzam cię tylko mój ojcze, że jesteś nadto zadowolony i że nie umiesz tego ukrywać.

— Czyż to tak wielka zbrodnia?

— Jest to tylko nieostrożność.

— Przysięgam ci moje dziecko, że pragnę tylko twego szczęścia i pani de Lorcy także... kiedy pan Langis nie myśli już o tobie, jakieżby miała w tem wyrachowanie?

— Ja nie wiem, odparła Antonina, ale zdaje mi się, że jej przesądy są dostatecznym powodem.

— Więc nie wierzysz temu, że hr. Laryński jest ożeniony.

— Wierzę, choć nie jestem tego pewną i dla tego chciałabym się przekonać. Powiedz mi ojcze, czy nie poddawałam się dotąd twej woli w całej tej okoliczności? Zgodziłam się na zasięgnięcie porady u pani de Lorcy, która ułaskawiła oskarżonego. Przyznała że pan Laryński jest człowiekiem zacnym, a nawet nieporównanym, ale także wykryła w przeciągu kilku dni, najprzód, że mnie nie kocha, a potem że jest ożeniony. Chcę sprawdzić rzecz całą i przekonać się, czy rzeczywiście zażartowano ze mnie.

— I w tym celu obmyśliłaś...

— Obmyśliłam, że z twojem pozwoleniem ojcze wyjedziemy ztąd jutro rano, udając się wprost do Cormeilles.

Projekt ten nie przypadł do smaku panu Moriaz, którego twarz dziwnie się przedłużyła.

— Czegóż się obawiasz mój ojcze? wiesz dobrze, że mam wiele siły charakteru, a nawet rozsądku, mimo wszystkiego co o mnie myśli i mówi pani de Lorcy. Gdy mi dowiodą, że się zawiodłam, postawię krzyż nad umarłem i pogrzebanem marzeniem i obiecuję ci, że nie będę po niem nosić żałoby.

— Niechże i tak będzie, ufam w twój rozsądek i siłę charakteru, jutro wyjeżdżamy do Cormeilles.

W cztery dni potem pani de Lorcy przechadzała się po cienistych szpalerach swego parku, w towarzystwie Kamila Langis; była w wybornym humorze, żartowała i śmiała się wesoło.

— Ciągle smutny i zamyślony, mówiła patrząc na towarzysza, ach! mój Kamilu, kiedyż przestaniesz robić te poważne miny? Nie rozumiem cię, doprawdy. Pracuję usilnie nad ułożeniem rzeczy na twoją korzyść, a tyś ciągle niezadowolony. Patrząc na ciebie, myślę o tym zajęciu z bajki La Fontain'a:

„Zwierzę to smutne, trawione obawą“.

— Obawą i nienawiścią, odparł zagadnięty. Nienawidzę tego człowieka, widok jego jest dla mnie nieznośnym, nie powróciłbym tu nigdy, gdybym spodziewał się spotkać go u ciebie pani. Czy pożegnał panią nareszcie?

— Jeszcze nie; cierpliwości, odrobinę cierpliwości! I cóż on ci może teraz szkodzić? Lew pozbawiony już szponów, a nadto sam nałożył sobie kaganiec. Czy godzi się ścigać nienawiścią bezbronnego nieprzyjaciela, który się poddał dobrowolnie?

— To dobrze, ale jeśli w przeciągu trzech dni nie opuści Paryża, powrócę do pierwotnej myśli, która była najpraktyczniejszą.

— Poderzniesz mu gardło?

— Z całego serca.

— Dla miłości zemsty?

— Nie jestem krwio-żerczy, ale dziwną miałbym przyjemność wyprawić na tamten świat, tę zagadkową osobistość.

Pani de Lorcy ruszyła ramionami.

— Gdzież ty widzisz tę zagadkowość? Powiem ci teraz, że jesteś nierozsądny i śmieszny. Powinieneś być bardzo wdzięczny panu Laryńskiemu, on bowiem pierwszy poruszył śpiące struny serca Antosi, zdjął czar, który czuwał dotąd nad jej spokojem, obudził jej serce i w końcu nie może się z nią ożenić. Widzę ją ztąd, jak pod wpływem tęsknoty i smutku płacze nad rozwianem marzeniem, mocno zagniewana, że pozwoliła się oszukać. Czy nie widzisz, ile skorzystać możesz z podobnego gniewu kobiety?

— Wiesz pani, ile ją kocham, odparł Kamil, a jednak nie chcę nic zawdzięczać jej zniechęceniu.

— Dziecko jesteś, pozwól się prowadzić. Nadeszła chwila działania, za kilka dni udasz się do Churwalden aby powiedzieć tej rozgniewanej kobiecie:—Kłamałem przed tobą, kocham cię. Opowiesz jej historyę twej miłości i od ciebie będzie zależało korzystać z chwili i z uwagi, z jaką cię słuchać będzie. Wtedy ona powie sobie w duchu:—Szukałam zemsty, otóż ją mam.

— Chciałbym wierzyć ci, pani, odparł pan Langis, ale czy pani myślisz, że panna Moriaz jest jeszcze dotąd w Churwalden?

To mówiąc wskazał palcem na koniec szpaleru, gdzie zajaśniała śliczna orzechowa suknia i Antonina zbliżyła się ku nim, wlokąc swój długi tren po miałkim zwirze.

— Naprawdę, zdaje mi się, że to ona! zawołała pani de Lorcy, pan Moriaz jest co najmniej nieostrożny; ale nieszczęście nie jest tak wielkie, jak ci się to zdawać może.

Panna Moriaz przybywszy w przeddzień wieczór do Cormeilles i wypocząwszy trochę po zmęczeniu podróży, kazała zaprządz konie do powoziku i przybyła powitać swą chrzestną matkę, która nie mogła jak tylko bardzo ocenić ten dowód uszanowania.

Pani de Lorcy pobiegła ku niej, a uściskawszy ją kilkakrotnie zawołała:

— Ach! nareszcie powróciłaś moja droga, jakże rada jestem, że cię widzę. Długo kazaliście na siebie czekać, bałam się, że już na zawsze zostaniecie wśród gór Szwajcarskich. Czy tam naprawdę tak uroczo? Mnie się zdaje, że twój ojciec jest poprostu starym samolubem, który poświęcił córkę dla swej wygórowanej systematyczności w kuracyi, ale skoro już tu jesteś, darowywam mu wszystko. Twoi ubodzy twoi protegowani, od dawna pragną twego powrotu. Któż to zapytywał mnie w tych dniach o ciebie? Ah to panna Gallet, której stosując się do twego polecenia, wypłaciłam pensyą kwartalną. Jak ty ją psujesz! Zastałam na jej stole książęcy bukiet. Była przekonaną, że przysłałaś jej go ze Swajcaryi, i nie mało miałam biedy, nim uwierzyła, że na Alpejskich lodowcach nie kwitną pełne kamelie. Strój sobie w kwiaty, kiedy ci się podoba, poddasze panny Galet, ale rzucać jej pod nogi korzec kamelii różowych nakrapianych białem, to prawdziwe szaleństwo. Ale niechże i tak będzie, jestem uradowaną twoim powrotem, wybornie wyglądasz, prawda Kamilu?

Panna Moriaz przyjmowała chłodno objawy czułości, jakiemi obsypywała ją pani de Lorcy, ale za to uśmiechnęła się przyjaźnie do Kamila Langis i uścisnęła serdecznie dłoń jego. Antonina czekała na oddalenie się Kamila, aby przystąpić do przedmiotu, który ją tak blizko dotyczył. Po krótkim przeciągu czasu młodzieniec wstał z miejsca, chcąc pożegnać obie panie, lecz zaraz usiadł napowrót. Drzwi się otwarły i w progu stanął hr. Abel Laryński.

Spostrzegłszy Samuela, obie kobiety widocznie zmieniły wyraz twarzy. Jedna pokraśniała z wysiłków jakie czynić jej wypadło, aby nie pokazać niezadowolenia, druga zbladła jak ściana. Brohl przeszedł przez pokój krokiem pewnym, jakby niepoznając osoby siedzącej obok pani de Lorcy. Nagle drgnął i widocznie pomieszanie zarysowało się na jego obliczu. Czy wzruszenie jego było rzeczywiście tak głębokie? Od dawna droga do Carmeilles stała się ulubionym spacerem jego, idąc tą drogą codziennie, dochodził do pewnego miejsca, z którego widać było wystawkę pewnego domu, którego okiennice od dwóch miesięcy były szczelnie zamknięte. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że w wigilią dnia tego zastał je raz popierwszy otwarte. System indykcyjny, jest zwykle dobrze znany takim ludziom jak Samuel Brohl.

Lecz umiał on panować nad sobą. Uspokoił się natychmiast a podniósłszy dumnie głowę przybrał postawę człowieka, stawiającego czoło wszelkiem niebezpieczeństwom. Powitawszy panią de Lorcy zbliżył się do Antoniny, zapytując ją o zdrowie tonem zimnym i ceremonialnym.

— Przybycie pana zasmuca mnie kochany hrabio, rzekła pani de Lorcy, przeczuwam bowiem, że przyszedłeś pan pożegnać mnie.

— Niestety! tak jest, odparł zagadnięty. Oczekiwane przezemnie listy nie nadeszły jeszcze co prawda, ale to nie zmienia moich zamiarów i za trzy dni opuszczam Paryż.

— Bez myśli o powrocie, bez żalu? zapytała pani de Lorcy.

— Żal pozostanie mi tylko po domu pani i po przyjęciu jakiego tu doznałem. Paryż jest za wielki, mali jak ja ludzie, czują tu więcej jak gdziekolwiek swoją nicość, nie będąc zrozumiałymi nawet, nie lubimy porównywać się do atomów. W Wiedniu czuję się swobodniejszym, lżej mi tam oddychać, jest to miasto więcej zastosowane do mego położenia i gustów. Źle robią ptaki zmieniające gniazda.

Tu zaczął opisywać i wychwalać z zapałem wiedeński Prater, Schoenbrunn, ogród botaniczny, Glorjette, kościół ś go Szczepana, błękitne fale Dunaju, zwracając się zarówno do Antoniny, która słuchała go w milczeniu, jak do pani de Lorcy, której oczy spoczywały na twarzy Kamila, jakby mu powiedzieć chciały:—Czy nie miałam słuszności? Przyznaj, że twoje uprzedzenia i obawy nie miały racyi bytu. Słyszysz, ostatnie półgodziny jakie spędza z nią razem, użyte przez niego na opowiadanie o wiedeńskich rozkoszach. Powiedzże mu przez litość choć jedno uprzejme słowo. Jakże długo będziesz trwał w tem niedorzecznem zamyśleniu? Wystawiasz się na śmieszność, grasz bardzo niemądrą rolę. Wyglądasz jak sfinks wśród puszczy. Pan Langis rozumiał dobrze, co mówiły oczy pani de Lorcy, ale nie rozmarszczał czoła i nie zmieniał wyrazu twarzy.

Pochwaliwszy Wiedeń i jego okolice, Samuel Brohl zaczął mówić o Wiedeńczykach, o ich łagodnym i przyjemnym charakterze, opowiedział kilka zabawnych anegdotek. W jego wesołości było coś wymuszonego, gorączkowego prawie ale zawsze była to wesołość. Pani de Lorcy odpowiadała na zapytania, panna Moriaz zaś, milczała, mnąc w palcach koronkę zdobiącą suknię, pałające jej oczy zdawały się liczyć oczka tej przejrzystej tkanki.

W połowie zaczętego zdania Samuel Brohl powstał z miejsca, a zwracając się do Antoniny prosił by oświadczyła panu Moriaz jego szczery żal, iż nie mógł pożegnać go osobiście, z powodu braku czasu potem skłonił się przed panią de Lorcy, dziękując jej za miłe i szczęśliwe chwile, jakie pozwoliła mu spędzić w swojem towarzystwie, a także prosił, by w jego imieniu pożegnała księdza Miollens.

— Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, kochany hrabio, rzekła pani domu, a także spodziewam się, że wkrótce dasz nam poznać hrabinę Laryńską, dodała głośniej.

Abel spojrzał na nią że zdziwieniem i wyszeptał:

— Matkę moją straciłem przed dziesięciu laty.

Nie czekając na dalsze tłomaczenia postąpił szybkim krokiem ku drzwiom, ścigany przez trzy wymowne spojrzenia, które jednak nie to samo mówiły. Pokój był dość długi, przez trzydzieści sekund jakie Samuel użył na przebycie przestrzeni dzielącej kanapę od drzwi, głębokie milczenie panowało dokoła. Miał już wyjść, gdy przyszła mu do głowy myśl nieszczęsna. Nie mogąc oprzéć się chęci ujrzenia raz jeszcze Antoniny i wyrycia w swej pamięci jej ubóstwianego obrazu, odwrócił głowę i oczy ich spotkały się. Lecz ten brak siły charakteru, Samuel miał drogo przepłacić. Widocznie gwałt jaki zadawał samemu sobie przez całą godzinę, wyczerpał siły zdawało mu się, że serce jego bić przestaje; uczuł iż nogi zachwiały się pod nim odmawiając dalszych usług, doznał silnego zawrotu głowy i upadł na podłogę bez przytomności.

Panna Moriaz nie mogła stłumić rozpaczliwego wykrzyku, pani de Lorcy wziąwszy ją wpół wyprowadziła do drugiego pokoju; rzuciwszy Kamilowi flakonik rzekła:

— Zajmij się panem Laryńskim.

Pan Langis położywszy flakonik na stole zbliżył się do Samuela, który leżał na posadzce, sztywny, zimny, na wpół tylko żywy. Pochylił się nad nim, potem złożywszy ręce i ruszywszy ramionami rzekł:

— Powstań pan, panna Moriaz już wyszła z pokoju. Samuel Brohl nie ruszył się.—Nie słyszałeś mnie, ciągnął dalej Kamil, jesteś bardzo piękny, ślicznie wyglądasz w tem omdleniu panie hrabio, możnaby cię wziąść za umarłego. Upadłeś pan nadzwyczaj zręcznie, przysięgam, że na scenie nawet nie widziałem omdlenia lepiej udanego; ale teraz nie wiarto dłużej przeciągać przedstawienia, powtarzam panu, że panna Moriaz już wyszła.

Samuel nie drgnął nawet.

— Czy chcesz pan, bym ci dał poznać siłę mych dłoni, ciągnął dalej Kamil, mogę zadość uczynić twemu życzeniu.

To mówiąc uchwycił wpół leżącego, uniósł go i złożył na najbliżej stojącej kanapie. Raz jeszcze przyjrzał mu się z blizka.

— Ta tragi-kemedya trwa trochę zadługo; czyż nie znajdę sposobu otrzeźwienia pana? Cóż mam czynić.. Słuchaj mnie pan:—Kocham całem sercem kobietę, którą ty także niby ukochałeś... Czy i to nie wystarcza? Jesteś pan udanym Polakiem i zarówno cenię twoje towarzyskie przymioty, jak pogardzam twą osobą... I tego jeszcze za mało! Nie mogę przecież podnieść ręki na pana, ale proszę na wszystko byś uważał zniewagę za fakt dokonany. Zdawało mu się że zemdlony poruszył się lekko. —Bogu dzięki, dajesz pan przecież znak życia, ciągnął dalej Kamil, obraza znalazła drogę do serca. Z całą przyjemnością służę panu, spodziewam się że będziesz żądał satysfakcyi. Miejsce, dzień, porę, broń, zostawiam ci wszystko do wyboru. Obiecuję panu dochować tajemnicy, nikt się ode mnie nie dowie, że twe omdlenia nie przeszkadzają ci słyszéć i odczuwać zniewagi. Oto mój adres.

To mówiąc wydobył kartę wizytową, którą usiłował wsunąć w zimną i opuszczoną rękę Samuela, lecz ręka ta nie przytrzymała jej.

— Co za upór! zawołał pan Langis. Jak ci się podoba panie hrabio, wyczerpałem już do dna zapasy mej wymowy.

Odwróciwszy się usiadł na krześle, rozkładając w ręku gazetę. W tej właśnie chwili drzwi się otwarły i pani de Lorcy stanęła w progu.

— Cóż ty robisz Kamilu! zawołała.

— Jak pani widzisz, czekam, aby ten wyborny aktor skończył odgrywać komedyę.

Kamil nie spostrzegł, że panna Moriaz wsunęła się też cicho do pokoju, w którym się znajdowali. Rzuciła na niego spojrzenie pełne gniewu i wyrzutu, w którem przeczytał swój wyrok potępienia. Chciał się bronić, tłomaczyć, lecz zabrakło mu głosu, skłonił się wziął za kapelusz i wyszedł.

Pani de Lorcy rozdrażniona i niezadowolona otwarła okno, potem zbliżywszy się do Samuela, zwilżyła twarz jego wodą.

— Ah na litość odejdź ztąd, rzekła do Antoniny, nie tu twoje miejsce.

Antonina nie wyszła przecież, cała drżąca, zmieniona, usiadła na krześle nie opodal stojącem. Starania pani de Lorcy osiągnęły pożądany skutek, zemdlony poruszył się, otworzył oczy, potem usta, usiadł i rzekł przecierając czoło:—Gdzie jestem?... Co się stało?... Boże mój, ona tu była przed chwilą!

Pani de Lorcy położyła mu rękę na ustach, a pochyliwszy się wyszeptała surowym tonem:—Ona tu jest jeszcze.

Nie zrozumiał jej przecież. Po takiem omdleniu stopniowo odzyskuje się przytomność, Samuel Brohl opuścił znów głowę na piersi. Po kilku chwilach dopiero, rzekł stłumionym głosem:—Przebacz mi pani, zabrakło mi odwagi, zawiodły mnie siły. Kocham ją szalenie, a przysiągłem sobie, iż nigdy jej już nie zobaczę. Wyjeżdżam, aby uciec od niej.

Podniosłszy głowę spojrzał z przestrachem na Antoninę, jakby nie poznając jej; wreszcie zrozumiał wszystko, powstał i wybiegł z pokoju.

Panna Moriaz zbliżyła się do pani de Lorcy, i rzekła spokojnie:—Cóż pani o tem myślisz?

— Myślę, odparła zagadnięta, że pani de Lorcy jest kobietą bardzo ograniczoną, a hr. Laryński człowiekiem wielkiej siły i charakteru.

Antonina popatrzała na nią z gorzkim uśmiechem.

— Przyznaj pani, że gdyby miał 100,000 funtów rocznego dochodu, nie byłabyś ani chwili wątpiła o jego szczerości.

Pani de Lorcy nie odpowiedziała, trudno jej było przeczyć, gniewała się na siebie samą, uznając, że jednocześnie miała słuszność i była w błędzie. Jest to wypadek zdarzający się niekiedy kobietom światowym.

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

WYKŁAD PUBLICZNY

o pierwotnym rozwoju chrystyanizmu,

miany przez **Ernesta Renan** w Londynie.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie pierwiastkowe usiłowania apostołów skierowane były względnie do geograficznego położenia Jerozolimy, ku Zachodowi. Pracujący nad rozszerzeniem pojęć chrześciańskich, pojmowali konieczną potrzebę moralnego zdobycia cesarstwa rzymskiego. Ówcześni cezarowie byli panami znanej części kuli ziemskiej, Rzym był punktem centralnym, ku któremu zbiegały się ze wszystkich stron promienie olbrzymiego koła; nawrócić zatem stolicę świata na religią chrześciańską, znaczyło nawrócić wszystkie państwa podległe jego władzy. Zaiste potrzeba było nadzwyczajnej wiary w prawdy objawione, aby przedsiewziąć dzieło na pozór niepodobne do wykonania.

Ówczesny Rzym był ogniskiem siły dośrodkowej ściągającej niezliczonemi kanałami bogactwa z najbardziej oddalonych okolic, na korzyść arystokracyi zniewolonej dla utrzymania swej przewagi żywić tak zwany proleteryat stolicy, i zabawić go bezpłatnemi widowiskami. Apostołowie mieli więc przed sobą: z jednej strony możnych, pysznych, zarozumiałych i zepsutych użyciem a raczej nadużyciem, z drugiej strony. ludność próżniaczą i zepsutą, nie myślącą o jutrze, ponieważ hojne kieszenie bogaczy zapewniały bezpłatnie chleb i cyrk, dwa wyrazy będące na ustach wszystkich.

Do podobnych ludzi mówić o religii chrześciańskiej, o religii zaparcia się, poświęcenia i miłości, o religii nakazującej poskramiać namiętności, i gardzić dobrami ziemskiemi, zdawało się niczem nieusprawiedliwionem zuchwalstwem, nieumiejącem pojmować znaczenia napotykanych trudności.

Zdawałoby się rzeczą właściwszą, rozpocząć dzieło całe od nawracania prowincyi, jako wyzyskiwanej przez ówczesnych władzców świata, i znoszącej z przykrością ciężkie jarzmo zwycięzcy. Wedle obliczeń rozumu ludzkiego wypadało wybrać tę a nie inną drogę, albo popełnić błąd mogący opóźnić o wiele wieków rozszerzenie chrystyanizmu. Pierwsi chrześcianie nie rozumowali, szli za popędem natchnienia, prawdopodobnie nie zdając sprawy, zmierzali ku murom stolicy świata, gdzie ich czekała śmierć męczeńska, ale gdzie rzucone przez nich słowo miało zawładnąć najpotężniejszem ówcześnie mocarstwem; a przez niego całym światem.

Tyle nadzwyczajnego wypadku dziejowego, niepodobna wytłómaczyć, wedle ciasnego poglądu pozytywistów.

Nie rozum tu widocznie działał, ale natchnienie, siła wyższa nad wszystkie siły ziemskie, wiodąca zarówno na męczeństwo jak apostolstwo. Niepojęte to a jednak rzeczywiste.

Nie będziemy rozszerzać się nad znaczeniem ówczesnej mitologii, dzisiaj już nikt nie wątpi, że dawni bożkowie greccy i rzymscy byli symbolami rozmaitych sił natury. Panteizm w najgrubszem swem znaczeniu znajdował ogólne zastosowanie. Najpotężniejszy z bogów ówczesnych Jowisz, wyobrażał atmosferę, jako górującą po nad wszelkiemi innemi żywiołami. Biedna to była religia bez przyszłości, ponieważ najmniejszy rozwój nauk ścisłych mógł wykazać jej nicość. Nie ta jednak okoliczność spowodowała jej upadek. Pomijając już jej wartość wewnętrzną, ówczesna warstwa kierująca popełniła błąd wielki, czyniąc tę religią swoim wyłącznym przywilejem, usuwając starannie warstwy niższe od kapłaństwa, tłumiąc w nich wszelki rozwój uczuć szlachetniejszych, tak aby zabawa i posiłek były ostatecznym wyrazem jego pragnień.

Ta właśnie epoka dziejowa jest nader ważna i zasługuje na pilny rozbiór umiejętnego badacza. Uczucie religijne musi być silną dźwignią społeczną, a zarazem nieodłączną własnością człowieka, kiedy lud uważany za pana świata, żywiony i bawiony bez najmniejszych zabiegów ze swej strony; zrywa z tem życiem roślinkowatem, uczuwa konieczną potrzebę zwrócenia uczuć swych myśli ku ideałowi, i w samem nawet męczeństwie, znajduje wewnętrzne zadowolenie, jako krwawa ofiara złożona na ołtarzu prawdy i sprawiedliwości.

Główną więc przyczyną względnie szybkiego rozwoju chrystyanizmu, był błąd popełniony przez warstwę naczelną w Rzymie, która tamując rozwój uczuć religijnych w ludzie, sądziła, że utwierdza swą władzę na zawsze, a tymczasem własnemi dłoniami podsadzała miny mające rozsadzić państwo, którego ona była jedynym przedstawicielem.

W ludziach wytworzonych niejako w ten sposób, obliczać tylko złość, przewrotność i chciwość jest grubym błędem; idea poświęcenia jest również właściwą człowiekowi, a ta idea ujęta w formę, staje się właśnie religią.

Obok jednak tego, były i okoliczności pośrednie ułatwiające rozwój nowej nauki.

Przedewszystkiem wypada wspomnieć o zdobyczach dokonanych przez starożytny Rzym; połączył on siłą miecza, w jedno wielkie państwo najrozmaitsze ludy i plemiona, niwecząc znaczną liczbę drobnych państewek zazdrosnych, chciwych i zostających w ustawicznej walce z sobą. Pod żelaznym berłem pana świata nastąpił pokój wewnętrzny, dający początek nowej epoce, nieznanego przedtem dobrobytu materyalnego. Dwie wielkie dźwignie bogactwa narodowego, przemysł i handel, o których dawne rzeczpospolite greckie nie miały najmniejszego wyobrażeniu, doszły do wielkiego rozwoju, mając ułatwioną komunikacyą, za pośrednictwem morza Śródziemnego, dróg starannie utrzymanych, i bacznej policyi przeszkadzającej rozbojom. Co ważniejsza jeszcze, ludność podbita straciła na wolności politycznej, ale zyskała na swobodzie cywilnej. Dawne mieszczaństwo greckie było nadzwyczajnie pyszne, zarozumiałe i despotyczne; biada każdemu któryby się ośmielił myśléć lub czuć nie wedle formułek narzuconych z góry; wspomnienie o Sokratesie pozostanie do końca wieków smutnem świadectwem nieuszanowania osobistych przekonań. Zginął on nie dlatego, że prawdę ogłosił o idei jedynego Boga, ale że ją odsłaniał zawcześnie dla umysłów nieprzygorowanych do jej przejęcia. Zapobiegając mogącemu ztąd wyniknąć wstrząśnieniu, zamknięto mu usta cykutą.

Rzym opierając władzę swoją na sile materyalnej, nie pojmując znaczenia nowych idei, nie wierzył zupełnie w potęgę moralną. Z tej właśnie przyczyny aż do Konstantego, nie można znaleźć w zbiorze praw żadnego przepisu, ograniczającego wolność myślenia.

Ukarano wprawdzie kilku filozofów, ale za przestępstwa polityczne; żaden zaś z nich nie był pociągniętym do odpowiedzialności za wypowiedziane zdania choćby w najliczniejszem zebraniu.

Rzym stawiając przewagę państwową po nad samowładztwem magistratów, przyczynił się znacznie do względnego oswobodzenia jednostki. W tym stanie rzeczy nauka chrześciańska mogła zyskiwać zwolenników, nie wywołując początkowo żadnego prześladowania prawnego. Inny byłby zupełnie stan rzeczy, gdyby rzeczpospolite greckie stały w dawnej sile, baczne oko ówczesnych władzców miast, umiałoby zajrzéć do najtajniejszych zakątków; apostołowie nowej nauki i ich zwolennicy byliby narażeni na większe jeszcze prześladowanie.

Cezarowie rzymscy osiągnąwszy najwyższą władzę, stając się punktem centralnym, z którego wszystko wychodziło i ku któremu się wszystko zwracało, w pysze swej i zarozumiałości nie uważali za właściwe odgadywać praw rozwoju ludzkości, ale chcieli takowe tworzyć, wedle upodobania.

Z tej przyczyny, na całej przestrzeni ogromnego państwa, wszelkie życie polityczne ustało, jedna głowa miała myśléć za wszystkich, a w jej dłoni

miały być scentralizowane wszystkie władze bez wyjątku. Otóż historya uczy, że skoro tylko życie polityczne ustaje, lub nie rozwija się należycie, natychmiast umysł ludzki naturalnym biegiem rzeczy zwraca się do kwestyi społecznych i religijnych i tam usiłuje wytworzyć pole działalności zatamowane w innym kierunku.

Nadto idea doskonalenia się moralnego, jest prostem następstwem idei poświęcenia, a ponieważ ta idea poświęcenia nie była ujętą przez pierwotną religią Rzymu; brak więc jej nie dając pokoju pewnej części ludzi wykształconych, stał się bezpośrednim powodem wytworzenia tak zwanej szkoły stoików. którą niewątpliwie można uważać za ogniwo moralne, będące przejściem do chrystyanizmu.

Stoicyzm dążył nietylko do do poprawy moralnej osobistej, do zawładnięcia zbyt rozwiniętemi namiętnościami zmysłowemi, ale nadto rzucił pierwsze pojęcie ludzkości i powszechnego braterstwa. Seneka jadał ze swojemi niewolnikami, a prawa człowieka podnoszono otwarcie bez najmniejszych obsłon.

Z wielu zatem względów przygotowaną była rola, do przyjęcia nasion nowej ery w dziejach ludzkości. Liczba jednak wyznawców chrześciaństwa zwiększała się zwolna i potrzeba było jakiegoś nadzwyczajnego wypadku, aby wstrząsnąć umysły i wprowadzić je w ruch należyty. Tym właśnie wypadkiem płodnym w następstwa, był słynny pożar za panowania Nerona. Od tego chrystyanizm wprowadzony został na karty historyi, gdy dotychczas żył jedynie w ustnej tradycyi.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum z I kwartału 1880 r. (Styczeń — Marzec).

Najdawniejsze z pism naszych, najstarsze w ogóle po Gazecie Warszawskiej i Kuryerze, Biblioteka rozpoczyna czterdziesty rok swego istnienia pod redakcyą p. Feliksa Jezierskiego, który objął to stanowisko po zgasłym sędziwym Wojcickim. Czy nazwisko nowego redaktora będzie tylko firmą czy też p. Jezierski wprowadzi w Bibliotece niektóre zmiany i ulepszenia—przyszłość to okaże. W krótkiej odezwie, pomieszczonej na czele zeszytu Styczniowego, redakcya przypomina swoje dawne zasady i przyrzeka trzymać się ich nadal, godząc poszanowanie dla tradycyi i historycznych podstaw bytu z nowszym postępem; mamy tu również zapowiedzianych kilka prac nowych. Co do nas, przypomnielibyśmy nowej redakcyi obowiązek zaradzenia trzem głównym brakom, o których nieraz wypadało nam wspominać na tem miejscu, a mianowicie są to: zupełne zaniedbanie literatury klasycznej i świata starożytnego, będącego tak obfitem i niewyczerpanem źródłem dla wszystkich piśmiennictw europejskich; dalej dorywczość, niezupełność i mierna wartość działu krytycznego; nakoniec zaniedbanie języka i stylu w utworach niektórych pracowników i pewna obojętność redakcyi na te usterki. Mówimy o tych brakach że *są*, nie zaś *były*, gdyż w trzech zeszytach z pierwszego kwartału znacznego postępu w tem wszystkiem jeszcze nie widać: są jednak pewne skazówki dążności ku zaradzeniu, szczególniej pod pierwszym względem (prace pp. Dzieduszyckiego i Kaszewskiego, o których niżej). Pragnęlibyśmy mocno, ażeby te nasze uwagi trafiły do przekonania redakcyi, ażeby uznała istnienie owych trzech braków i okazała dążność ku skutecznemu im zaradzeniu.

Przechodząc do szczegółów z przyjemnością wspominamy o zajmującej pracy p. Stanisława Leliwy „Dawid Hilchen“ (zeszyty styczniowy i marcowy). Bohater tego szkicu historycznego z najświetniejszych czasów dawnej Polski był to mieszczanin ryzki i szlachcic polski, wierny sługa rzeczypospolitej za Batorego i Zygmunta III. Należał on do liczby tych oddanych Polsce Inflantczyków, którzy służyli całą duszą nowej swej ojczyźnie, nie szczędząc swych usług w radzie i na wojnie, przelewając krew na polach bitwy jak Farensbach, ów „Bajard inflencki,“ którz poległ śmiercią walecznych.

W obszernym wstępie autor podaje obraz stosunków inflanckich za Zygmunta Augusta i podaje szczegółowy rys układów, które zakończyły się przyłączeniem Inflant do Polski. Obszernie i gruntownie przedstawione są tu także urządzenia miejskie Rygi i administracyjne Inflant za Batorego i opowiedziane mało znane dzieje zawichrzeń w Rydze z powodu sporu katolików z protestantami o dwa kościoły i z powodu wprowadzenia nowego kalendarza. Gruntowne zarysy stosunków wewnętrznych i zatargów zewnętrznych o Inflanty dają nam poznać we właściwem świetle smutny stan owego kraju, zamiary i sposób postępowania sąsiadów, wykazując zarazem konieczność i zbawienność zajęcia Inflant przrz Polskę. Sprawę kalendarzową i wywołane przez nią rozruchy autor przedstawił krytycznie, roztrząsając zdania stronne i poglądy tych historyków (głównie niemieckich), w oczach których protestanci i Niemcy zawsze mieli słuszność i byli barankami ofiarnemi... Mówiąc nawiasem, podobne poglądy płynące z nienawiści ku przeszłości dziejowej, panują nietylko u Niemców, ale trafiają się i u nas, w obozie tak zwanym „trzeźwym,“ a przynajmniej nadającym sobie to miano. Lubują się więc w piorunowaniu przeciwko inkwizycyi, jezuitom, prześladowaniom religijnym ze strony katolików, paleniu czarownic i t. d. a nie wspominają, że i po stronie przeciwnej były nie same łagodne baranki, że protestanci odznaczali się nie mniejszym od katolików fanatyzmem, zaciekłością i nietolerancyą, że np. Luter i Kalwin nakazywali również palić heretyków, a w krajach protestanckich spalono nie mniej czarownic co w katolickich. Bezwzględni przyganiacze tego wszystkiego, co dawni Polacy czynili, niechaj przeczytają dzieje Dawida Hilchena, prześladowanego przez spółmieszczan, pozbawionego czci i majątku, skazanego nawet na śmierć bez żadnej winy, chyba za przywiązanie do Polski, w skutek intryg spółobywatela, z którym się poróżnił i którego całe postępowanie było nacechowane egoizmem, chciwością i przewrotnością. Wyrok wydany był zaocznie, na gołosłowną skargę owego spółobywatela — syndyka Gedemana, „a na zadość uczynienie przyznano Godemanowi dom Hilchena i majątek będący w posiadaniu jego teścia. Żona, będąc bliską rozwiązania, zmuszoną była ustąpić z mieszkania i wynieść się do najętego domu, *dzieci były oćwiczone*, szlachecki herb zniszczono.“ Stało się to 1601 roku w cywilizowanem mieście Rydze, rządzonem przez mieszczaństwo niemieckie. Wszystkie punkta oskarżenia przeciwko Hilchenowi autor roztrząsa i wykazuje zupełną ich kłamliwość i bezzasadność. Pokrzywdzonemu trudno było o sprawiedliwość; a chociaż za poparciem króla, Ryżanie przywrócili go do praw i czci, Hilchen zmarł w Polsce, a przysądzone dzieciom jego wynagrodzenie za rozszarpany majątek ojcowski nie zostało nigdy wypłaconem.

Polecając wszystkim tę piękną pracę, nie zupełnie jednak zgadzamy się na cokolwiek jednostronne i dziś nieco przestarzałe poglądy historyozoficzne autora. Tak czytamy. że Hilchen „widział w Polsce wolność prawdziwą,“ a Batory został zganiony za to, że „wszystkich drażnił“ zamierzone zaś przez tego króla reformy, gdyby się udały według zdania autora, „wykoleiłyby Polskę z tej drogi, na którą wprowadziła ją Opatrzność, targnęłyby się na ustrój wewnętrzny — owoc wielowiekowej pracy narodu.“ (Styczeń str. 13). A jednak autor wcale nie ma za złe Batoremu, że działał w duchu polityki katolickiej, skierowanej ku celom państwowym i będącej niewątpliwie w ścisłym związku z całym systematem jego planów. Tu wspomnimy nawiasowo, że zwolennicy silnej władzy rządowej w dawnej Polsce mają za złe Zygmuntowi III jego politykę katolicką i jezuicką, ale nie ośmielają się ganić tegoż samego w Stefanie Batorym—sprzeczność nie pierwsza i nie jedna w poglądach wielu historyków, bo przecie dla oceny polityki królów mało ma znaczenia ta okoliczność, że Zygmunt III był katolickim i jezuickim z przekonania, a Stefan—może z wyrachowania. Co się zaś tyczy owego wyroku o planach Batorego, mniemamy, że trudno wypowiadać tak bezwzględną przepowiednię o rzeczy, która się nie spełniła, której więc i następstwa nie są nam wiadome, jako leżące w dziedzinie możliwości i przypuszczalnych hypotez. Wiemy to tylko, że Polska „wykoleiła się“ bez reform Stefana, a nawet wyrokować czy z owemi reformami byłaby się wykoleiła wcześniej lub później, czy też byłaby dotąd istniała —jest rzeczą czczej fantazyi, opartą na osobistych przekonaniach i leżącą całkowicie w sferze mrzonek, niegodnych umysłu poważnego. Doprawdy czas już wielki—a wołam o to już dosyć dawno przy każdej sposobności—ażeby nasi historycy i badacze zaniechali całkowicie jałowych dociekań o tem „co *byłoby* nastąpiło, *gdyby się* stało to i owo.“ Zaniechać zaś tych daremnych i fantastycznych rozpraw wypadałoby choćby tylko dla tego, że wiemy to tylko *co było;* wiemy także co *mogłoby* nastąpić, chociaż nie nastąpiło, ale żaden mędrzec, ani żaden geniusz nie zdoła nam powiedzieć, co *byłoby* nastąpiło niezawodnie w tym lub owym wypadku, gdyby jedno lub drugie ogniwo faktyczne w łańcuchu następstwa dziejów było inne... Wiemy że pożar *zniszczył* dziesięć domów w mieście, wiemy i to także, że przy silnym wietrze i braku skutecznego ratunku ogień *mógł zniszczyć* całe miasto; ale co *byłoby* nastąpiło potem, gdyby całe miasto było zgorzało—jakie byłyby faktyczne następstwa tego wypadku dla okolicy, dla kraju, a może dla całej Europy—tego już chyba nikt, oprócz fantastycznych marzycieli powiedzieć na seryo nie potrafi. Rzecz zdaje się prosta i logiczna, ale naszym autorom trudno rozstać się z pokusą nieokiełznanego puszczania się w dziedzinę dowolnych hypotez.

Nakoniec, co się tyczy owej „prawdziwej wolności“—przy obecnym stanie pojęć, w obec nowszych źródeł i krytyki historycznej pomimo wszelkiego szacunku dla sympatyi i poglądów osobistych, uważamy za szkodliwy wszelki pogląd jednostronny i zaślepiony. Rozwój dziejów naszych i cały szereg doświadczeń pokazały że owa wolność nie była wolnością.

(d. c. n.)

Korespondencya z Karlsbadu.

O UBIORACH.

1-go Sierpnia 1880 r.

Korespondencyę dzisiejszą wyprawiamy z Karlsbadu, gdzie od początku wiosny przesunęło się już

do piętnastu tysięcy pacyentów i pacyentek, używających kuracyi. Sądząc z pozoru możnaby pomyśléć że przy tak ogromnym zjeździe osób mniej więcej zamożnych, a nie zbytecznie chorych, żniwo nasze powinno być nadzwyczaj obfite. Daleko przecież do tego. Jedna wycieczka na Pola Elizejskie lub do Tuilleryjskiego ogrodu, więcej nam powie o modzie panującej, niż wszystkie tutejsze koncerta i przechadzki. Niemki przeważają tu znacznie, nad paniami innych narodowości, a Niemki jak wiadomo, czy z nad Renu, czy z nad Wezery czy też Elby, nie celują bynajmniej gustem, a prawo harmonii zupełnie im nieznane. Wprawdzie wiedenki stanowią wyjątek w pośród innych, lecz i tym daleko jeszczo do Francuzek. Jedne tylko Warszawianki, śmiało powiedzieć można, posiadają ten zmysł estetyczny, wrodzony paryżankom, ten właściwy takt, co sprawia, że idąc za wymaganiem mody, wiedzą gdzie się zatrzymać, co z niej przyjąć a co odrzucić, aby nie wpaść w przesadę.

Liczba Polek nie wielka tu jednak w tym roku, Francuzek spotykamy zaledwie trzy lub cztery: angielek trochę więcej, lecz te przezorne nad miarę, nie zrzucają nigdy sukiennego lub alpagowego *mackintossa*. Niemieckie panie są też najliczniejszemi przedstawicielkami dzisiejszej mody, którą bez litości obracają w karykaturę.

W chłodne dnie widzimy naprzykład, czarny frak aksamitny, spięty na dwa rzędy świecących guzików, i długą klapę na czarnej atłasowej spódnicy. Krawatka do tego pąsowa, pęk pąsowych piór na czarnym kapeluszu, pąsowy parasolik, a co najdziwniejsze, pąsowe rękawiczki!

Inna niemiecka elegantka, nosi na rano do wód, białą muszlinową suknię z długą powłoką, i czarną koronkową mantylę, podpinaną pąsowemi wstążkami.

Trzecią znów spotykamy na popołudniowej przechadzce: ma suknię barwy śmietankowej, haftowaną różnobarwnym jedwabiem; kapelusik przystrojony różami, mantylę z białej blądyny hiszpańskiej lekko zarzuconej na ramię. Zbliżamy się zaciekawieni w przekonaniu że wdzięk młodzieńczy musi iść w parze z tym strojem prawdziwie wiosennym. Wielki zawód! Włos siwy, cera zżółka, pomarszczona świadczą wymownie o siedmiu krzyżykach, ciążących na barkach niemieckiej elegantki.

Chłodne poranki tutejsze, wywołały potrzebę korcikowych kostiumów. Wiedeń opatrzył niemi hojnie tutejsze magazyny. Przed wyjazdem z Paryża widzieliśmy już podobne kostiumy, przygotowane do kąpieli morskich. Robią je zazwyczaj z ciepłej wełnianej tkaniny w kolorach brązowym lub oliwkowym w drobniuchną kratkę lub niewydatny marmurek. Kostium taki składa się ze spódnicy zakończonej szerokim plisowanym wolantem. Na to idzie luźny paletot z takimże wolantem u dołu; przody ma podbite atłasem pąsowym, błękitnym lub heliotropowym. Przysłania go wielka okrągła pelerynа, spięta na ogromną klamrę stalową lub srebrną oksydowaną.

Niektóre panie noszą także kostiumy w kratę z jaskrawych kolorów, lecz te służyć mogą jedynie do wód, gdy tymczasem kostium brązowy lub ciemno oliwkowy, może stanowić wygodne jesienne ubranie na ulicę.

Co do strojniejszych sukien, najwięcej ich tu widać z gładkiego letniego atłasu, ubieranych atłasem drukowanym w różnobarwny deseń. Spódniczka u nich przemarszczona bywa w poprzecz raz koło razu, ubrana trzema wolantami, także przemarszczonemi w górze, które tworzą jakby trzy spódniczki; spadające jedna na drugą. Brzeg wolantu objęty plizą w deseń; takaż draperya podpięta kokardami ze wstążek, spada na tył sukni od jednego boku do drugiego. Stanik długi najczęściej z karokiem w kształcie fraczka, ubrany bywa z przodu i na plecach marszczoną draperyą. Suknie te garnirują zwykle koronką w odcieniu śmietankowym.

Obok atłasowych, widzimy takież suknie z fularu lub bawełnianej *satinetty*, niemniej świeże i ładne, a według nas odpowiedniejsze na lato.

Kapelusze zastosowane zwykle do sukni, zdobią koronką, kwiatami i piórami w podobnych do niej kolorach.

Dajemy tu szczegółowy opis ubrania młodej markizy francuzkiej; strój ten odznacza się wśród innych niepospolitym smakiem i wytwornością.

Suknie z letniego kaszmiru indyjskiego w kolorze płowym, (*cheveux blonds*) ma u dołu szeroką plisę z fularu, w kratę szafirową, złotawą i morderową. Spódniczka krótka sięga zaledwie ziemi. Z pod plizy wyglada balbyenza szara z haftem morderowym. Fałdowana draperya kaszmirowa, podbita fularem, otacza z przodu spódniczkę, z tyłu zaś tworzy fantastyczne puffy i festony. Stanik podcięty u szyi czworograniasto, niżej zasznurowany szarą jedwabną plecionką, ma w tyle baskinę przedłużoną w kształcie małego fraczka. Oryginalną ozdobę jego stanowi, szeroka krawatka fularowa w kratę, ułożona w taki sposób, że zapełnia wycięcie stanika, końce jej zaś kryją się przyciśnięte zasznurowanemi przodami. Z pod krawatki spiętej u szyi złotą śpilką, wygląda fryzka koronkowa. Mankiety fularowe w kratę, zachodzą prawie po łokieć. Dopełnia ubrania kapelusz okrągły słomkowy dosyć wielkich rozmiarów, dodbity marszczonym atłasem morderowym, strojny materyą w kratę. Buciki do tego szare, spinane na żeberka; pomiędzy nich wygląda pończoszka jedwabna w kolorach morderowym i szafirowym. Parasolik morderowy, i woreczek aksamitny tegoż koloru, spięty na złotą klamrę—ślicznie odpowiadają całości.

Kolor ciemno czerwony (caroubier) przemaga nad innemi, ubierają nim powszechnie kostiumy z szarego fularu lub batystu. Noszą też wiele kostiumów, koloru szaro-lilla, czyli heliotropowego. Z ciemniejszych najmodniejsze kolory: śliwkowy i brunatny (*loutre*).

Jubilerowie wiedeńscy wystawili tu mnóstwo pięknych biżuteryi. Odznaczają się gustem, emaliowane broszki w kształcie róż, gwoździków, modrych bławatków, maczków, gałązek heliotropu i t. p. Uważaliśmy także broszki z czeskich kamieni, w kształcie różnych owadów: chrząszczyków, koników polnych, motyli i innych skrzydlatych żyjątek. Branzoletki złote i srebrne zwane *porte broheur*, zmieniły dziś ozdobę, zamiast *świnek*, zawieszają przy nich maleńkie słonie.

Niektóre kapelusze odznaczają się wielką oryginalnością. Tak zwane *à la jardiniere*, zdobią bukietem z rumianych jałuszek, orzechów, śliwek i innych owoców. Uważaliśmy jeden ubrany pękiem marchwi. Drobne pomarańczowe korzonki sterczą w górę, długa natka spada na bok jakby zielone pióro.

Ten pęczek marchwi zdaje nam się dziś śmiesznym, czemże jednak wybryki fantazyi dzisiejszej, w obec excentryczności z końca zeszłego wieku! Za czasów Maryi Antoniny, sławny fryzyer Leonard, przedstawił na głowach elegantek całą historyę smutnego panowania Ludwika XVI. Każdy wypadek polityczny, każda nowina dworska, każdy skandal, każda sztuka odegrana w teatrze, wszystko to bywało dla Leonarda pobudką do nowych pomysłów.

Kiedy przyszedł na świat syn księcia Chartres, późniejszy Ludwik-Filip, weszła w modę fryzura zwana *pouff de la Duchesse de Chartres*. Na wierzchołku tej piramidalnej fryzury pomieszczoną była lalka wyobrażająca mamkę z dziecięciem. Na prawo papuga ulubiona księżnej, trzymała w dziobku wiśnię, na lewo maleńki murzynek krył się między włosami.

Kiedy Ludwik XVI wstąpił na tron, wymyślono fryzurę *à l'esperance*. Po nad zwojami krepy czarnej, wschodziło złote słońce, godło nadziei przyświecającej ludowi francuzkiemu.

W parę lat później, skutkiem cła nałożonego na zboże zrozpaczony lud groźną przybiera postać. To pierwsze objawy zapowiadające krwawy przewrot. Modne panie z niepojętą lekkomyślnością, przyjmują zaraz, wymyślone przez Leonarda czepeczki *à la revolte*, przystrojone wszelkiego rodzaju kłosami.

Sławny podróżnik wraca z Indyi, wnet okręt dwómasztowy z rozpiętym żaglem, ukazuje się na głowach pięknych markiz, zakładają w Trianon nowy ogród, a oto całe grządki egzotycznych kwiatów dają się widzieć na piętrzastych fryzurach. Grają nową operę Glucka, wnet moda przyjmuje greckie sploty *à l'Iphigienie*. Gotuje się wyprawa w pomoc amerykanom, natychmiast na głowach pań błyszczą dragońskie szyszaki. Królowa przywiązuje się do białego pudelka, i niebawem wszystkie głowy nastroszone pudrowanemi loczkami, wyglądają jak pudle.

Pomijamy inne pomysły Leonarda; owe jeże i melony, owe kosze kwiatów i pęki piór, pod któremi uginały się głowy, wytwornych markiz i księżniczek. Smutnoż pomyśléć... upłynęło lat kilka, a większa część tych głów, spadła pod gilotyną!

Z kraju i z zagranicy.

— Pisma rosyjskie rozbierają obszernie i uznają ważność postanowienia Senatu w sprawie p. Jackowskiego; w jednym z ostatnich numerów „Gołos“ zamieścił poważny artykuł, którego zakończenie przytaczamy.

„Naszem zdaniem wielkiej jest wagi rozstrzygnięcie tej kwestyi przez Senat. Rząd nietylko jest obowiązany wymagać bezwzględnego wykonania wszelkich istniejących w kraju praw i postanowień, ale i nie może dozwalać do wolnego tłomaczenia i stosowania praw ani „polityki drażnienia“ których nie usprawiedliwia ani interes Państwa ani obecny stan Królestwa Polskiego. Lekcyi tej, danej przez najwyższą instancyę, powinniby się nauczyć na pamięć przedstawiciele niższej administracyi i sądownictwa w Królestwie Polskiem, guberniach nadbałtyckich i we wszystkich w ogóle miejscowościach znajdujących się w podobnem położeniu.

„Ale postanowienie Rządzącego Senatu inne ma jeszcze znaczenie, powinnoby zachęcić ogół do korzystania ze swego prawa odwołania się do wyższej centralnej władzy we wszystkich przypadkach, gdy uważać będzie iż pogwałcono jego prawa w granicach praw istniejących. *Na okoliczność tę szczególną zwracamy uwagę*, ponieważ wielokrotnie zdarzało nam się słyszéć o praktykowanych w królestwie i w innych miejscowościach anomaliach różnego rodzaju, nie mogących miéć nic wspólnego z widokiem i pragnieniami rządu. Podobne anomalie są przeważnie wynikiem niepojętej apatyi polskiej np. inteligencyi, uważającej wyroki miejscowych władz za ostateczne i bezapelacyjne, i nie umiejącej bronić swych interesów przed władzą wyższą, a tak sprawa pana Jackowskiego jako też wiele innych faktów przekonywa, że w wielu kwestyach pogląd

władz wyższych nie zgadza się wcale z zapatrywaniem się wykonawców rozlicznych *czasowych* środków.“

W tym razie podzielamy najzupełniej pogląd „Głosu“ dodając iż pragnęlibyśmy bardzo aby artykuł ten przeczytali zarządzający urzędem pocztowym warszawskim, co może skłoniłoby ich, aby raz nareszcie uczynili zadość domaganiom się publiczności, i obok napisów w języku urzędowym umieścili napisy polskie, jedynie zrozumiałe dla ogółu.

— Niezadługo ma być otwarte w Warszawie *Muzeum Sztuk i Starożytności* stanowiące stałą wystawę tychże przedmiotów. Pomieszczone w niem być mają obrazy malarzy polskich i obcych, współczesnych i dawnych, jakoteż rzeźby, broń, numizmaty krajowe i zagraniczne, wykopaliska z czasów przedhistorycznych i mniej odległych, starożytne tkaniny i t. p. Oprócz przedmiotów stanowiących własność założycieli Muzeum pp. Dyzmańskiego i Szaniawskiego jako też i oddawanych w komis, wystawione w niem będą czasowo niektóre zbiory prywatne. Za cel tego przedsiebiorstwa podają chęć powstrzymania wywozu z kraju rzadkich zabytków sztuki i archeologii, gdyż wszelkie wystawione w Muzeum przedmioty, tylko mieszkańcom kraju mają być sprzedawane.

— Dyrektor Instytutu *Głuchoniemych i Ociemniałych* ogłosił w pismach publicznych pocieszającą wiadomość dla rodziców których dzieci podlegają tej strasznej niedoli, a z powodu braku miejsca nie mogły być przyjęte do Instytutu, że w połowie sierpnia r. b. otwartą będzie szkoła dla przychodnich głuchoniemych, pod nazwą Oddziałów paralelnych, w Warszawie, w gmachu po Augustyańskim, przy ulicy Piwnej. Opłata roczna od uczniów wynosić będzie rs. 15, i ma być uiszczaną w dwóch ratach półrocznych. Dzieci ubogich rodziców nietylko mają być zwolnione od tej opłaty, ale nadto otrzymywać będą bezpłatnie wszelkie pomoce naukowe, jako to: papier, pióra, ołówki, książki, tabliczki szyfrowe i t. p. a to za złożeniem świadectwa właściciela domu, że nie są w stanie opłacać 15 rs. rocznie. Oddziały te staną się wielkiem dobrodziejstwem dla tylu nieszczęśliwych istot, pozbawionych dotąd wszelkiej nauki.

— W „Wieku“ w numerach od 156 do 160 zamieszczono jest bardzo dobrze pomyślany i napisany artykuł p. Jeleńskiego p. n. „Żydzi na wsi“ w którym autor wykazuje zgubne skutki Żydów zamieszkałych po wsiach, a mianowicie handlarzy zbożem, pachciarzy a szczególniej arendujących szynki, wbrew przepisom obowiązującego prawa, które podchodzą w ten sposób iż przedstawiają za dzierżawiącego jakiegoś chrześcianina. Wykazawszy dowodnie nader zgubne skutki i demoralizujące wpływy tych wioskowych pijawek na lud wiejski, autor dochodzi do wniosku, że pod tym względem nic nie pomogą najlepsze chęci jednostek, że nie są w stanie zaradzić złemu, zatem ogół obywateli powinien wziąć się za ręce w sprawie zabezpieczenia bytu klasy rolniczej i jej przyszłości, uchronienia jej od ruiny i moralnego upadku, który i im samym największe przynosi szkody. Jako nader pożądany początek tak zbawiennej działalności, p. Jeleński zaleca zakładanie po wsiach tak zwanych *Gospód chrześciańskich.*

„Człowiek, mówi p. J. jest istotą towarzyską, potrzebuje więc ogniska, gdzieby po pracy znalazł rozrywkę i możność wymiany swych myśli i uczuć. Prawu temu podlega zarówno i lud wiejski, który nie mając nic lepszego idzie do brudnej, gorzałką cuchnącej karczmy, gdzie staraniem arendarza jest aby był rozpajany, eksploatowany, i stopniowo pociągany na drogę występku. Nie pozostaje więc jak te otchłanie zepsucia i zbydlęcenia ludu zastąpić „gospodami chrześciańskiemi, jak to już w wielu miejscach uczyniono z najlepszym skutkiem, a jedyny to na dziś sposób osłabienia przynajmniej zabójczego wpływu żydów—spekulantów. W podobnych razach dobry przykład praktyczny działa nader skutecznie; powinienby więc oddziałać podobnie dany przez kilku czcigodnych kapłanów, zachęcając innych aby poszli ich wzorem. Nie jest to życzenie i wołanie osobiste, ale głos sumienia ogółu, widzącego do czego wiodą lud, setki dzisiejszych karczem i szynków. Zakładanie wspomnianych gospód, przedstawia duchownym i obywatelkom wiejskim wdzięczne pole działalności, a im będzie rozleglejszą tem większą wdzięczność kraj winien będzie tym, co do zbawiennego tego dzieła przyłożą dłoń obywatelską.“

Jako drugi do tegoż celu prowadzący środek, zaleca p. J. zakładanie po wsiach *sklepów uczciwie i sumiennie prowadzonych*, co także istnieje już w wielu miejscowościach. Przedsiebiorstwa te nie są bynajmniej jakąś instytucyą filantropijną: obywatele postarali się o ludzi umiejących zająć się prowadzeniem sklepów, dali kapitał na kupno towarów, i zapewnili sobie odpowiedni procent. Sklepy te urządzone są na skromną skalę, ale zamiast złych towarów jak w kramach żydowskich, sprzedają w nich dobre i na rzetelną miarę i wagę. Doświadczenie przekonało, że gdzie tylko sklep podobny założono, tam pomimo konkurencyi potrafił pozyskać najwyżej w przeciągu roku zaufanie miejscowej ludności, i właściciele nie potrzebują bynajmniej obawiać się strat materyalnych. Można zapewnić, że kto, zwłaszcza we wsi zamożniejszej, zakłada sklep z celem czysto kupieckim lecz sumiennym, ten podwójnie dobrze robi: najpierw dla siebie, zapewniając sobie uczciwe zyski, a powtóre dla wieśniaków, chroniąc ich od niesumiennego wyzyskiwania.

Za trzeci środek zaleca zakładanie dla włościan i rozpowszechnianie wśród nich instytucyi kredytowych, a to celem „ograniczenia lichwy, jeźli już nie wytępienia zupełnie. Prawo z r. 1870 dozwala każdej gminie i każdej wsi awet zakładać u siebie własną *kassę pożyczkowo-o czędnościową*, bez starania się o specyalne pozwoi ie. Powyższe instytucye uważać należy w *zas dzie* za najważniejsze i najpożyteczniejsze, i dol ze administrowane ochroniłyby lud od niecnego wyzyskiwania lichwiarzy, doprowadzających go do nędzy a z niej często do zbrodni.

Artykuł ten nacechowany znajomością rzeczy i prawdziwą miłością ludu, zalecamy szczególniej obywatelkom wiejskim, aby z właściwą sobie gorliwością dla dobro ogółu postarały się wprowadzić w wykonanie przedstawione w nim środki i rady.

— Prezydent miasta Krakowa, zwołał radę miejską krakowską na posiedzenie poufne w dniu 22 b. m. w celu odbycia narady odnoszącej się do przyjęcia Cesarza Franciszka Józefa; posiedzenie poufne zamieniło się w końcu na jawne, i na niem dr. Cyfrowicz wniósł wniosek przyjęty jednomyślnie, aby przyjęcie to było jak najświetniejsze, w tym celu uchwalono kredyt nieograniczony. Podzielając w zupełności zapatrywanie się dra Cyfrowicza, Rada jednogodnie przystąpiła do wyboru komitetu, dla przygotowania uroczystego przyjęcia, który tegoż dnia wieczorem odbył posiedzenie pod przewodnictwem prezydenta miasta, dra Zyblikiewicza.

Do komitetu zaproszono hr. Artura Potockiego, prezesa Akademii Umiejętności dra Majera i profesora Szujskiego, poczem komitet podzielił się na cztery podkomisye: programową, (dr. Weigel, Muczkowski, Rzewuski, dr. Szlachtowski) balową, (dr. Cyfrowicz, Mendelsburg, Muczkowski, hr. Potocki, dr. Szlachtowski, dr. Zoll); dekoracyjną, (dr. Grabowski, Rzewuski i Zaremba); kwaterunkową, (dr. Blumenstock i Gwiazdowski). Zadaniem tych podkomisyi jest szczegółowe zajęcie się przekazaniem im czynnościami, i przedstawianie odpowiednich wniosków głównemu komitetowi. Zamierzono urządzić bal w górnych salach sukiennic i całe miasto ma być świetnie uluminowane, inne szczegóły przyjęcia nie są jeszcze znane.

— Doroczna uroczystość strzelecka w Wiedniu odbyła się z wielkim przepychem i okazałością. Już rano w niedzielę, na dziedzińcach koszar Rudolfa zaczęły się zgromadzać pojedyncze grupy strzelców. W pierwszym dziedzińcu zebrali się strzelcy wiedeńscy, tyrolscy i Voralbergu, w drugim strzelcy z innych krajów cesarstwa, a w trzecim szwajcarscy i zagraniczni. Korowód (Fetszug) rozpoczął się około 10 pod przewodnictwem komitetu otoczonego muzyką. Na przodzie szli strzelcy zagraniczni: niemieccy, francuzcy, belgijscy, angielscy, włoscy, szwajcarscy, po za nimi węgierscy, siedmiogrodzcy, polscy, czescy, dalmaccy, karyntyjscy, morawscy, dolnoaustryaccy, styryjscy i t. d. Strzelcy polscy z krakowa zwracali na siebie uwagę wspaniałym strojem narodowym. Na ich czele szedł deputowany do Rady Państwa, dr. Weigel, z buławą marszałka strzelców w ręku, obok niego szedł p. John, który niósł wielkiego kurka srebrnego, dar króla Zygmunta Augusta, ofiarowany bractwu kurkowemu w Krakowie w r. 1655. W Korowodzie tym żywe budził zajęcie rydwan tyrolski, dzieło rzeźbiarza Szily, przedstawiający wiernie góry i skały tyrolskie, ale najważniejszym ustępem było poświęcenie chorągwi. Na tę ceremonię przybyli wszyscy ministrowie, książęta rodziny cerarskiej, kardynał arcybiskóp Kutschker, a o 11-tej przybyli oboje cesarstwo. Uroczystość rozpoczęła się natychmiast. Najpierw arcybiskup pokropił chorągiew wodą święconą, następnie cesarz i cesarzowa wbili w nią pierwsze dwa gwoździe, po nich kardynał arcybiskup, książęta i księżne, ministrowie, burmistrz Wiednia i t. p. Arcybiskup udzielił błogosławieństwa, poczem miał przemowę prezes austryackiego związku strzeleckiego.

Dzień następny odznaczał się jednaką świetnością, przy coraz wzrastającym napływie widzów. W niedzielę 3600 osób zasiadło przy 140 nakrytych stołach; bankiet poniedziałkowy liczył 475 osób, z powodu, że większość chcących wziąć w nim udział, zgłosiła się za późno. Przyjmowano z zapałem wnoszone toasta i mowy. Wieczorem o 7 straszna powstała burza z ulewnym deszczem, od którego nie zabezpieczały nawet pokryte halle, a drewniane budynki trzeszczały grożąc zawaleniem. W halli w której odbywała się uroczystość, w bliskości orkiestry oderwały się i spadły ramy od okna, mające $1^1/_2$ sążnia długości, i zraniły cztery osoby siedzące przy oknie.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 23 Іюля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 32 r. 1880.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Cezaryna wydawała bal kostiumowy, ponieważ była to nowość za którą się wszyscy ubiegali. Co do niej już i to jej nie bawiło, odkąd zaczęto ją uważać tylko za „piękną na swoje lata,“ a jej córkę za „pannę na wydaniu.“ Ale wszakże teraz wszystkie bale były dla niej zarówno nudne odkąd przestała być ich królową; niechże przynajmniej jako gospodyni domu utrzyma się na pierwszorzędnem stanowisku.

Dowodziło to niemniej że znała dobrze usposobienie wielkiego świata, posiadającego mnóstwo słabostek właściwych małemu, z tą tylko różnicą że je doskonale pokrywać umie.

Bal kostiumowy; jakaż to wyborna sposobność wypowiedzenia tego czego inaczej nie śmiałoby się powiedzieć, popisania się z dowcipem, włożenia na siebie stroju cudzoziemskiego, zwracającego na siebie uwagę, a przypadającego do twarzy. Lub też w dominie i z maską na twarzy przesuwać się tajemniczo wśród świetnego tłumu, tego zaintrygować, temu szepnąć jakieś złośliwe słówko, z tamtego zażartować sobie, korzystając ze swobody do której upoważnia maska.

Jakże goście hrabiny byli jej wdzięczni że im dała sposobność do tak miłej zabawy!

Salony pałacu d'Anglejean zapełniły się olśniewającemi swym przepychem kostiumami, fantastycznemi strojami pociągającemi ku sobie oczy; wśród nich snuły się białe, różowe i niebieskie domina dam, i weneckie płaszcze mężczyzn.

Znajdował się tam i Henryk III, Apollo, Piękny Dunois, don Juan, Filip II, Sobieski, Iwan Groźny, trubadurzy, hidalgowie i różne inne postacie historyczne lub legendowe, a wśród nich pysznił się Gustaw d'Astiville w ubiorze oficera kroackiego. Wprawdzie postawa nie dość była marsowa, ale jakie kosztowne futro!... jakie drogie klejnoty zdobiły rękojeść pałasza. Pani d'Astiville osłonięta białem dominem, mogła się nacieszyć podwójną wystawą, piękność swego syna i familijnych brylantów.

Pani d'Anglejean pozostawiła córce wybór kostiumu, i Emelina wybrała dla siebie ubranie bogatej Japonki, bogate, powłóczyste, i nie jaskrawe, a w którem jednak było jej bardzo do twarzy. Z klejnotów matki wzięła tylko dwie długie złote szpilki, któremi dla uzupełnienia stroju przepięła swe czarne warkocze.

Kiedy zeszła do salonu, hrabina pogłaskała ją po twarzy, rzadki i wielki dowód łaski, i rzekła śmiejąc się:

— Jak widzę, już na zawsze zostaniesz purytanką.

— A! mamo! jakże jesteś piękna! zawołała Emelina z wyrazem szczerego zachwycenia.

Cezarynie było rzeczywiście bardzo pięknie w stroju cesarzowej rossyjskiej, pomimo że aksamit, przerabiana złotem materya i diadem cesarski, stanowiły ubranie zupełnie stosowne do jej wieku, a więc takie którego nie włożyłaby na siebie jeszcze pare miesięcy temu.

Pan de Madiran przybył najpierwszy, a w miejsce zwykłego domina, miał na sobie poważny ubiór sędziego strasznej Rady Dziesięciu.

Przybył jedynie aby widzieć Emelinę którą kochał prawie jak rodzoną córkę, i miło mu było patrzyć na nią gdy ożywiona zabawą, skromna swobodna i wesoła przesuwała się przed jego oczyma, wśród par tańczących.

— Czemuż nie może być moją córką! żoną Roberta, myślał wzdychając. Gdzież on znajdzie do niej podobną.

Po niejakim czasie, pan de Madiran spostrzegł że prócz niego jeszcze ktoś inny śledzi równie uważnie każde poruszenie Emeliny. Tylko że kiedy dla niego dość było patrzeć z daleka, czarne domino wysokiego wzrostu, wymijało z dziwną zręcznością koronkowe falbany, treny, długie szpady, berła, par tańczących, aby o ile można najczęściej zbliżyć się do młodej Japonki, bez zwracania na siebie uwagi, i dzięki umiejętnym swym manewrom zdołało spotkać kilka razy łagodne i pełne blasku oczy Emeliny, lub zobaczyć wesoły uśmiech na jej świeżych ustach.

Jeden tylko pan de Madiran, zwrócił na niego uwagę. Czemu? Na to nie umiałby odpowiedzieć w pierwszej chwili, bo w zachowaniu się tajemniczego domina nie było nic nadzwyczajnego; później dopiero uderzyły go jego ruchy zręczne i pełne dystynkcyi, które mu przypominały kogoś z dobrze znanych osób.

Nagle dziwne podejrzenie zrodziło się w jego myśli. Czyby to być mogło?... nie to nieprawdopodobne przypuszczenie, nie mógł w to uwierzyć, i chcąc upewnić się że go wzrok myli, wstał aby zbliżyć się do nieznajomego.

Dostrzegło to czarne domino, odgadło jak widać zamiary, a może i obawiało się ich następstwa, bo nagle cofnęło się w tłum i znikło w drugim salonie.

Ta ucieczka zamieniła w pewność podejrzenie pana de Madiran; uśmiechnął się smutnie a zarazem pobłażliwie.

— Alboż to zgłębianie międzynarodowego prawa może wystarczyć młodemu sercu i młodej głowie? rzekł do siebie szukając czarnego domina.

Nie łatwe to jednak było zadanie, ścigany wiedział jakie mu grozi niebezpieczeństwo, i posiadał wzrok bystrzejszy niżeli ścigający, i może pan de Madiran nie dostrzegłby go za osobami przypatrującemi się historycznemu kadrylowi, gdyby o kilka kroków od niego nie zatrzymała się także panna d'Anglejean, wsparta na ręku oficera kroackiego.

Czarne domino zapomniało o grożącem mu niebezpieczeństwie i zatrzymało się także, ale zamiast przyglądać się tańczącym, zwróciło całą uwagę na oficera kroackiego i młodą Japonkę, tworzących tak odpowiednią parę pod względem wieku i piękności.

Kiedy tak stali obok siebie, taż sama myśl która już zabłysła w umysłach gości hrabiny na poprzednim u niej balu, zaczęła się zamieniać w przekonanie; wszyscy przewidywali że może wkrótce nierozerwalny związek połączy tę młodą parę.

Zdaje się że i nieznajomy w czarnem dominie czynił takież same przypuszczenia, bo pod osłoną maski czoło jego się marszczyło a usta zacinały się mimowolnie.

— Robercie, szepnął pan de Madiran kładąc rękę na jego ramieniu.

Zaskoczony niespodziewanie Robert odwrócił się prędko, i spojrzenie jego spotkało się z surowem spojrzeniem ojca.

— Wyjdźmy, rzekł cicho pan de Madiran.

Robert zmięszany udał się za nim do małego gabineciku z wyjściem na korytarz prowadzący do schodów.

— Robercie, odezwał się pan de Madiran, dziwi mnie to że cię tu spotykam.

— A mnie, mój ojcze, bardzo przykro że mnie tu spotkałeś, odpowiedział żywo Robert.

— A więc czujesz całą niewłaściwość swego postępowania.

— Być może.

— Po co tu przyszedłem?

— Po to aby znaleźć męczarnie tam, gdzie obiecywałem sobie znaleźć szczęście.

— Czy nie czujesz tego że twoja obecność w pałacu d'Anglejean jest zupełnie niewłaściwą?

— Czuję to tak dobrze że wstydzę się się tego że mogłem uledz poszeptom ciekawości.

— Czy chciałeś się naocznie przekonać że hrabina Cezaryna ma już czterdzieści lat.

Robert spojrzał na ojca z wyrazem zadziwienia.

— Hrabina?... nie patrzyłem na nią wcale.

— Więc przyszedłeś po tylko aby...

— Aby zobaczyć Jego Zarozumiałość, Gustawa d'Astiville, pyszniącego się przywilejami które mu nadaje jego szczęśliwe kuzynostwo, odrzekł z goryczą Robert.

— Niech to będzie dla ciebie karą, odrzekł poważnie pan de Madiran. Nie wolno ci było przestępować progu domu do którego cię nikt nie wzywał, tym więcej że sam, swym nierozważnym oświadczeniem w Bordeaux; zamknąłeś drzwi przed sobą. Wsuwać się do niego pokryjomu jest rzeczą ubliżającą godności tak twojej, jak i tej prawdziwie anielskiej istoty, która tobie zawdzięcza tę trochę szczęścia jakiego dziś używa.

— Czy przynajmniej jest szczęśliwa? zapytał niespokojnie.

— W ogóle mało jest wymagającą... Ale teraz nie pora mówić o tem, wyjdź prędko, aby cię kto nie poznał.

— Ah ojcze! gdybyś wiedział jak do mego pokoju dochodził wyraźnie i wyzywająco odgłos muzyki!... Widziałem wśród rzęsiście oświetlonych salonów sylwetki przesuwających się osób... zdawało mi się że poznaję... słowem pokusa była silniejsza niżeli wola... zresztą domino osłaniało mnie tak dobrze...

— Że mogłem cię nazwać po imieniu.

— To też tylko ojciec mógł mnie poznać, ale nikt zresztą.

— Wyjdźże już, wyjdź!

— Już?...

— Czy trzeba ci przypominać że to co było tylko dowodem płochości, przybiera z każdą upływającą minutą wyraźniejsze cechy nieprzyzwoitości?

— Masz słuszność, mój ojcze. Odchodzę... że moja bytność tu jest zupełnie niewłaściwą, dodał z westchnieniem.

Wyszli cicho na korytarz, ale pan de Madiran zatrzymał się przy schodach.

— Zostajesz jeszcze ojcze.

— Tak, choćby dla zasłonięcia twego odwrotu, nierozsądny chłopcze.

— No, wszak już wyszedłem... teraz nie ma się czego obawiać... ale możesz być pewnym kochany ojcze, że Tantal u stóp orzeźwiającego drzewa, nie czuł się bardziej nieszczęśliwym jak ja stojąc w moim pokoju przy oknie. Dobranoc, ojcze.

Zbiegł ze schodów, przesunął się szybko przez tłumy lokajów i furmanów, ale znalazłszy się na bulwarze Montparnasse sam jeden, szedł dalej wolno, smutnie zamyślony i niezadowolniony z siebie.

XVI.

Pałac d'Anglejean, z którym tak blizkie sąsiedztwo już i tak nie raz zamącało spokój Roberta, przybrał tej nocy tak świetną i wyzywającą postawę, jakby się chciał urągać z jego samotności. Przepisy i formuły prawa międzynarodowego musiały mu się wydawać bardzo oschłemi, kiedy czytając je słyszał dźwięki muzyki balowej. Rzucił też książkę na biórko, zagasił lampę, otworzył okno, i stanął w nim nie zważając że może narazić się na ciężką jakąś chorobę.

W pałacu tańczono; i przez rzęsisto oświetlone okna, widać było snujące się w tę i ową stronę postacie, których cienie migały się na wysypanych piaskiem ulicach ogrodowych. Dla Roberta który nie mógł wziąść udziału w tej zabawie, było to coś więcej jak bal zwyczajny, była to ciężka do przezwyciężenia pokusa. A tajemnicze czarne, różowe i białe domina, przesuwały się wśród par tańczących, jak nocne motyle, umyślnie szukające cienia, i Robert patrząc na nie pomyślał:

— Gdybym ja także był jednym z takich nocnych motylów, któżby mnie poznał?

Od tej myśli do wykonania zamiaru nie zbyt odpowiedniego dla przyszłego dyplomaty, potrzeba było tylko czasu niezbędnego do wyszukania domina. Jeżeli jednak pragnął przyłączyć się do tego świetnego tłumu, to prawdopodobnie nie zdawał sobie dobrze sprawy z pociągających go tam powodów, gdy teraz przeciwnie dobrze już wiedział coby go tam zatrzymało, gdyby ojciec nie znaglił go do odejścia.

Powróciwszy do swego pokoju, do którego przez otwarte okno dochodziły ciągle dźwięki balowej muzyki, zdjął z siebie z niecierpliwością domino. Po co on tam poszedł?... jaką korzyść przyniósł mu ten szalony postępek?... Czy pan d'Astiville był mniej zadowolnionym z siebie, mniej szczęśliwym przez to że jakiś nieznajomy cierpiał nad tem że nie może zająć jego miejsca?... Czy Emelina na której ustach błąkał się tak miły uśmiech domyślała się że jej znajomy z Accroches, ten którego tajemne starania zmusiły hrabinę aby ją zawezwała do siebie, ukrywał się w tym tłumie aby ją zobaczyć z blizka?... Nie, panna d'Anglejean z pewnością nie przypuszczała nawet nic podobnego.

Zresztą, prawdopodobnie, myśl jej czem innem była zajętą... Będąc nagle przerzuconą z Accroches w wir życia światowego, widząc się królową świetnego balu, łatwo zapomnieć o tem, co w ciszy wiejskiej przedstawiało nam się jako ważny jakiś wypadek życia. Możnaby także uważać za coś szczególnego gdyby kuzynek d'Astiville którym wszyscy się zachwycają, nie podobał stę pannie d'Anglejean. Kto wie czy ten bal nie został wydanym z powodu zaręczyn, których nie chciano jeszcze rozgłaszać? Oficer kroacki miał minę tak tryumfującą jakby już nie mógł powątpiewać o zwycięztwie, a młoda Japonka... Ale cóż go tak bardzo może obchodzić ta młoda Japonka?... i jakie on ma prawo badać jej uczucia? Niedorzeczne roszczenia!

Emelina wzbudzała w nim szczerą litość, ucieszył się gdy nakoniec zajęła właściwe sobie miejsce, ale na tem się ograniczyć powinien przez wzgląd na przeszłość... A! ta Cezaryna, ta kobieta zwodnicza, próżna, lodowata!... Nigdy sobie tego nie przebaczy że mógł uwierzyć w jej sztuczną piękność i młodość w jej serce którego nie posiada wcale!... Czy ją kochał?.. Nie stokroć nie. Kochać można tylko to, co rzeczywiście istnieje, nie podobno pokochać czczej mary, złudzenia, żyjącego kłamstwa!... Nigdy jej nie kochał... nigdy... nigdy... gdy tymczasem Emelinę!...

Robert ocknął się nagle z zamyślenia; z pałacu d'Anglejean zaczęły dochodzić już nie dźwięki muzyki, ale głośne krzyki kobiet, do których przyłączyły się wkrótce głosy męzkie wyrażające przerażenie.

Zdziwiony, zaczął się przysłuchiwać. Krzyki się wzmagały. Silne światło tryskało oknami, które mężczyźni otwierali, dopomagali wyskakiwać przez nie kobietom; i sami wyskakiwali jakby uciekając przed jakiemś groźnem niebezpieczeństwem.

Nagle dreszcz przerażenia wstrząsnął Robertem.

— Ogień!... ogień!... w pałacu d'Anglejean!... zawołał.

Stał chwilkę jak skamieniały, wpatrując się w straszny widok przedstawiający się jego oczom. Słyszał przeraźliwe krzyki uciekających, widział czerwony płomień, podniecany przeciągiem powietrza i wijący się po firankach, girlandach kwiatów, draperyach, festonach z muślinu i materyi, do których dostał się zapewnie przez zetknięcie z którymś świecznikiem.

Straszna myśl rozbudziła Roberta z otrętwienia. Tam był jego ojciec!... ociężały w skutek wieku, niezdolny wyskoczyć przez okno, jak to czynili ludzie młodzi i zwinni... tam była także Emelina!...

W minutę przebiegł schody i ogródek, przystawił do muru drabinę ogrodnika, wszedł na nią i skoczył do pałacowego ogrodu, a potem pobiegł dalej o ile mu tchu starczyło.

Nie wiedział czy ogień dostał się już do innych pokojów pałacu, czy nie łatwiej byłoby dostać się do niego od dziedzińca, biegł nie zastanawiając się nad niczem, popychany miłością synowską, zachęcony głosem serca.

Goście rozsypani po całym ogrodzie widzieli go pędzącego z szybkością strzały do zajętego ogniem gmachu; straszna obawa aby w nim nie zginął ojciec i Emelina, podwajała jego zwinność i siły.

W chwili kiedy jakiś Apolin i admirał, na pół zaduszeni dymem wyskakiwali oknem do ogrodu, Robert z ogrodu wskoczył do ogniem zajętej sali.

Trzy salony stały w ogniu, a płomienie jego zagrażały już przytykającej do nich galeryi. Były zupełnie puste; widać że wszyscy zdołali z nich uciec do ogrodu lub na dziedziniec; tak przynajmniej zdawało się Robertowi, kiedy wśród gęstego dymu dostrzegał tylko zwęglone szczątki materyi, lub szmaty festonów palących się jeszcze. W końcu jednak zobaczył przy jednej ławce jakiś przedmiot któryby można wziąść za stos spalonej materyi gdyby go nie podrzucały konwulsyjne drgania.

Robert przysunął się do niego oślepiony dymem, drżący ze wzruszenia. Była to postać ludzka, którą ubranie z aksamitu i ciężkiej, grubej materyi uchroniło od zupełnego spalenia, ale nie od ran ciężkich, bo gdy ją Robert podnosił zaczęła krzyczeć z bólu. Z niewypowiedzianym wstrętem uczuł że kawałki skóry z jej pleców i ramion pozostają mu w ręku!...

Silniejszy podmuch wiatru rozpędził dym na chwilę, i przy blasku płomieni poznał że tą nieszczęśliwą istotą była Cezaryna!...

Posadził ją na oknie, sam wszedł na nie podtrzymując ją ciągle; skoczył, i wraz ze swym ciężarem spadł na piasek.

Wszyscy byli przerażeni i sobą jedynie zajęci że nikt nie pośpieszył im na ratunek. Każdy myślał o tem tylko aby się dostać na dziedziniec gdzie dotąd nie groziło jeszcze niebezpieczeństwo. Służący, sąsiedzi i straż, zapobiegali już rozszerzeniu się ognia.

W ogrodzie o kilkadziesiąt kroków od pałacu klęczał starzec podtrzymujący młodą zemdloną panienkę, pod oknem, około którego ogień trawił niedopalone jeszcze szczątki draperyi, jęczała leżąca na piasku kobieta.

Po kilku minutach świeże powietrze ocuciło Roberta; wziął znów na ręce nieprzytomną i wydającą głuche jęki Cezarynę. Ale gdzie ją miał zanieść? Szczęściem dostrzegł o kilka kroków kiosk, w którym hrabina kazała urządzić kaloryfer, postawić fortepian, kanapę, i przybrać kwiatami. Zwrócił się tam zaraz i położył Cezarynę na kanapę, a gdy wyszedł aby posłać kogoś po doktora, zobaczył pana de Madiran klęczącego obok odzyskującej już przytomność Emeliny. Pobiegł do nich uszczęśliwiony, i Emelina otwierając oczy spostrzegła pana de Madiran w objęciach syna. Chciała się uśmiechnąć, tymczasem rozpłakała się mocno i zapytała:

— Gdzie moja matka?

Robert nie miał siły odpowiedzieć, a widząc że czeka na odpowiedź niespokojna, drżąca z obawy, wskazał tylko ręką na kiosk. Zrozumiała go i udała się tam natychmiast chwiejącym się krokiem.

Prawie jednocześnie przez jedne z drzwi pałacowych niedotknięta jeszcze ogniem, wybiegła kobieta śmiertelnie blada, za którą dążyło kilku służących, i rzucała dokoła spojrzenia pełne najżywszego niepokoju, prawie błędne. Była tak zmieniona że Robert z trudnością poznał w niej Ludwikę, poszukującą z rozpaczliwym niepokojem swej ukochanej Emeliny.

Szukała jej odkąd pierwsze krzyki ze snu ją przebudziły, i nie znalazła ani między uciekającymi, którzy biegli jak obłąkani nie odpowiadając na jej pytania, ani wśród poparzonych których wynoszono z pałacu, i odwożono do ich mieszkań.

Przebiegła jak szalona salony w których ogień już dogorywał, ale dym tamował jeszcze oddech i szczypał w oczy, a teraz chciała jej szukać w ogrodzie.

Robert pośpieszył naprzeciwko niej i zawołał wskazując kiosk ręką:

— Emelina ocalona i zupełnie zdrowa, ale hra

bina potrzebuje jak najśpieszniejszej pomocy lekarskiej.

Ludwika pośpieszyła do altany nie wyrzekłszy ani słowa, potrzebowała przedewszystkiem przekonać się naocznie że się nic złego nie stało Emelinie. Szczęściem jeden ze służących wiedząc że doktór mieszkający w pobliżu pałacu, znajduje się w mieszkaniu odźwiernego i opatrzył już rany kilku oparzonych osób, pobiegł natychmiast przywołać go do swej pani. Tym to sposobem domownicy hrabiny dowiedzieli się że ich pani została wyratowana z ognia, ale w takim stanie że nie wiele pozostawało nadziei aby żyć mogła.

Poniesiono nieszczęśliwą Cezarynę do części pałacu wcale nie dotkniętej pożarem, który zresztą po spłonięciu łatwo zapalających się przedmiotów, całkiem już został ugaszonym.

Wtenczas dopiero przekonano się wjak rozpaczliwym stanie znajdowała się hrabina; biegnąc do okna przez które chciała wyskoczyć potknęła się i upadła, a jednocześnie spadł na nią z sufitu kawał płonącej draperyi i pokrył całą jakby ognistym całunem.

Aksamit i gruba materya nie łatwo się zapalające, uchroniły część jej ciała od zetknięcia się z ogniem, ale biust, plecy, ręce, ogołocona z włosów głowa, pokryte były głębokiemi ranami. Emelina i Ludwika musiały zdejmować z niej z największą ostrożnością stwardniałe i kruszące się prawie ubranie. Kawałki zwęglonego ciała pozostawały w ręku opatrującego ją doktora.

W przyległym pokoju panowie de Madiran oczekiwali na sprawozdanie lekarza. Robert czuł że teraz już ma prawo pozostać, ojciec jego nie myślał nawet sprzeciwiać się temu. Oczekiwali długo, a gdy nakoniec lekarz się ukazał, zapytali niespokojnie, czy ma nadzieję uratować hrabinę?

— Główne organa życia nienaruszone, odpowiedział, lecz ręce od ramion powypalane aż do kości, biust i szyja pokryte ranami, równie jak głowa zupełnie ogołocona z włosów. Twarz nie uszkodzona dzięki temu zapewnie że musiała się pod nią podsunąć i tulić aksamitna suknia. Ogólny stan groźny; jednak przy bardzo troskliwych staraniach, i jeżeli hrabina będzie miała dość siły aby przetrwać straszne cierpienia, to możnaby ją uratować.

Zaraz po oddaleniu się doktora, Emelina weszła do pokoju i podała jedną rękę panu de Madiran, drugą zaś z głęboką wdzięcznością uścisnęła dłoń Roberta. Wiedziała już czyje to ręce wyrwały jej matkę z płomieni.

Nie umiałaby sama powiedzieć od kogo dowiedziała się o tem. Zapewnie ktoś z gości widział jak Robert trzymając na ręku hrabinę wyskoczył oknem, i uciekając udzielił innym tej wiadomości, która przechodząc z ust do ust doszła do doktora znajdującego się w mieszkaniu odźwiernego, do służących szukających naprożno swej pani, a nakoniec do Emeliny.

— Pozwól, drogie dziecię abym dzień dzisiejszy spędził przy tobie, rzekł pan de Madiran, moje doświadczenie może ci się na coś przydać, wśród tego ogólnego zamięszania jakie tu panuje obecnie.

— O! tak, pozostań pan; będę spokojniejszą wiedząc że tak nieoceniony przyjaciel czuwa nad biedną moją matką i nademną.

— Czy i mnie także będzie wolno dowiadywać się o zdrowie pani d'Anglejean? zapytał nieśmiało Robert.

Były to pierwsze słowa jakie przemówił do niej po oddaleniu się z Accroches. Jakże to spotkanie było odmiennem od poprzedniego! ileż to wrażeń przesunęło się w ich marzeniach a może i w sercu od owej chwili poznania tak pamiętnej dla obojga!..

Rumieniec pokrył blade lica dziewczyny; w oczach zabłysła łza wdzięczności i odpowiedziała z prostotą:

— Któż mógłby mieć większe prawo dowiadywania się o zdrowie mej matki, od tego komu winna jestem jej ocalenie?

XVII.

Cóż się stało z Gustawem i baronową?

Znikli pierwsi wśród tego strasznego popłochu, w którym każdy myślał tylko o sobie. Doktór znający dobrze ich oboje, nie przypominał sobie aby ich widział między ranionymi.

Nazajutrz rano Gustaw d'Astiville blady jeszcze i zmięszany, zjawił się w pałacu d'Anglejean, z którego tapicerowie wynosili uszkodzone meble. Emelina wyszła do niego w towarzystwie pana de Madiran.

W postawie tak zawsze pewnego siebie Gustawa, malowało się pewne zakłopotanie. Czuł zapewnie że trudno mu będzie usprawiedliwić swoją ucieczkę przed kuzynką którą powinien był ratować. Może temu także trzeba było przypisać przesadę i napuszystość jego wysłowienia, gdyż spostrzegłszy ją zawołał:

— Droga kuzynko!... dzięki Bogu!... ty przynajmniej zostałaś ocaloną!... Jakież to straszne udręczenie!... Wiem już że hrabina!... niestety!... ta dobra i piękna hrabina!... Powiedz mi, czy to prawda że doktór ręczy za jej drogie życie?.. Gdybyś wiedziała Emelino ile ja przecierpiałem... jak straszna walka toczyła się w sercu mojem zmuszonem wybierać między dwoma świętymi dla mnie obowiązkami!... Kiedy ogień wybuchł, pierwsza myśl moja... Czy potrzebuję ci mówić jaka to była moja myśl pierwsza?...

Tu nastąpiło wymowne spojrzenie z towarzyszeniem głębokiego westchnienia.

— Gdzie cię szukać?... biegam po salonach roztrącając truchlejące z przerażenia tłumy... nie widzę cię nigdzie... Kilka minut przed tem byłaś przy mnie!... a teraz... Widziałem twoją matkę, kiedy z zadziwiającą odwagą i zimną krwią uspakajała swych gości. Chciałem właśnie biedz do niej, błagać aby mniej myśląc o innych a więcej o sobie, ratowała się ucieczką, kiedy do uszu moich doszedł krzyk przeraźliwy, rozdzierający: „Mój syn!... mój syn!...“ Była to matka moja, przywołująca mnie rozpaczliwie. Upadła w moje objęcia nieprzytomna... Płomienie otaczały nas, wiły się nad naszemi głowami trawiąc draperye pokrywające sufit. Hrabina znikła mi z oczu wśród oszalałego z przestrachu tłumu a matka moja zemdlała! Cóż miałem czynić, Emelino?

— To co uczyniłeś mój kuzynie: ratować matkę, odpowiedziała zimno.

— Tak, ale twoja matka!... ale ty, droga kuzynko!... Jakaż to okrutna boleść dla mnie, być zmuszonym was pozostawić,..

— Ja, winna jestem moje ocalenie panu de Madiran, naszemu szczeremu przyjacielowi, a syn jego wyrwał matkę moją z płomieni.

Gustaw ukłonił się grzecznie milczącemu ciągle starcowi, ale twarz jego zdradziła żywe niezadowolnienie. Panowie de Madiran, nie zdobywając się na piękne słówka, potrafili oddać tak wielką przysługę, że przy niej musiały zblaknąć najszumniejsze oświadczenia i komplimenta zachwycające go kuzynka.

— Ale czy przynajmniej zdrowie pani d'Astiville nie ucierpiało z powodu tak gwałtownego przestrachu? zapytała grzecznie Emelina.

— Przeciwnie, zostawiłem ją płaczącą, zgorączkowaną, i zostającą jeszcze ciągle pod wpływem przestrachu. Zaledwie zezwoliła abym oddalił się na chwilę od jej łóżka.

— W takim razie biegnij ją uspokoić mój kuzynie; ja także muszę wracać do mojej matki.

Gustaw pożegnany tak wyraźnie, odszedł z tem niemiłem przekonaniem że jego rozczulająca przemowa nie uczyniła pożądanego wrażenia, pomimo że starał się tak usilnie, odegrać dobrze swoją rolę. Co prawda, nie mógł unosić się szczerością, i wyznać że uciekł najpierwszy, nie pomyślawszy nawet o matce, która dopiero w kilka minut podążyła za nim, że dobiegłszy do pałacu d'Astiville zemdlał wskutek doznanego przestrachu. Szczęściem że odźwierny posłyszawszy jakieś stuknięcie o drzwi otworzył drzwi i ocucił go nie żałując wody.

Nie, do czegoś podobnego nie można się przyznać dwudziestoletniej kuzynce, bogatej dziedziczce, którą dzięki naszemu tchórzostwu, uratowały czyjeś inne ręce.

Baron d'Astiville, któremu podagra nie dozwalała brać udziału w doprowadzeniu do skutku tak upragnionego przez baronowę małżeństwa, wstrząsnął głową dowiedziawszy się od Gustawa o wypadkach tej nieszczęsnej nocy.

— Miałeś w ręku doskonałą kartę, i nie umiałeś z niej korzystać! powiedział spokojnie.

Pani d'Astiville chorowała z przestrachu i rozdrażnienia. Czuła że jej piękny Gustaw przedstawił się niekorzystnie, i wymawiała mu cierpko że nie umiał korzystać ze sposobności przekonania Emeliny że mu jest droższą nad życie.

— Gdybym była na twojem miejscu, mówiła, to jak tylko zawołano: „Pali się!“ byłabym porwała na ręce córkę, lub w ostateczności matkę, choćby nawet żadnej z nich nie groziło żadne niebezpieczeństwo, wyniosłabym ją do ogrodu, na dziedziniec, gdziekolwiek, byle tylko jak najwięcej osób było tego świadkiem.

— Łatwo to mówić leżąc spokojnie w łóżku, odpowiedział niecierpliwie Gustaw. Czy to można zapanować nad swemi nerwami?... Zresztą, zdaje mi się że i mama nie posiada silniejszych, bo ratowała się także co prędzej ucieczką, nie myśląc wcale co się stanie z tymi paniami.

— Tak, tylko że ja nie myślę żenić się z twoją kuzynką, co zupełnie zmienia postać rzeczy. Bez pracy nie będzie kołaczy.

— Matka twoja ma słuszność, odezwał się baron nie zapracowałeś na kołacz, to też go jeść nie będziesz.

Nie będziemy opisywać okropnych cierpień jakie musiała znosić nieszczęśliwa Cezaryna. Przez długi czas nie można było prawie mieć nadziei aby je przetrwać mogła; pokaleczone jej ciało, owinięte grubo watą, leżało nieruchome, jakby już dotknięte ręką śmierci. Zdawało się że tylko głowa jeszcze żyje, że ją trapią jakieś straszne widzenia, bo prócz rozdzierających jęków boleści, wydobywały się z ust krzyki przerażenia. Po pewnym czasie i to ustało a nastąpiła ogólna niemoc, obezwładnienie zupełne, straszniejsze jeszcze od gorączki.

Przez cały ten czas Emelina nie odstępowała od

łoża matki. Ani noce bezsenne, ani dręcząca ją ciągle obawa, nie pozbawiły jej hartu duszy, ani cierpliwości. Śledziła na zmienionej twarzy chorej każde jej życzenie, aby je spełnić natychmiast, każde cierpienie aby jej przynieść ulgę; umiała połączyć przezorność z czułością, zręczność wprawnego chirurga z łagodnością siostry miłosierdzia.

Ludwika, i teraz nieodstępna jej towarzyszka i pomocnica, zdumiewała się, widząc ją tak mężną w nieszczęściu, tak ufającą w szczęśliwą przyszłość.

Wieczorem Ludwika schodziła do galeryi, wiedząc że tam znajdzie Roberta, oczekującego wiadomości o zdrowiu hrabiny. Często jednak stan zdrowia chorej nie dozwalał, jej także, oddalić się nawet na chwilę, i wtenczas Robert po długiem oczekiwaniu wracał do domu smutny i niespokojny.

Rzadziej jeszcze widywał Emelinę, ale wraz z jej zjawieniem się, pusta galerya przemieniała się w jego oczach w jakieś dziwnie urocze miejsce. Zamieniali z sobą naprędce kilka słów, odnoszących się wyłącznie do groźnego stanu zdrowia hrabiny, potem Emelina odchodziła śpiesznie, a Robert słuchał jeszcze z rozkoszą odgłosu jej lekkich kroków, gdy biegła do pokoju chorej matki.

Pan de Madiran oddawał ciągle i bardzo ważne przysługi Emelinie; jego wiek, charakter tytuł przyjaciela jej ojca, dozwalały mu przebywać prawie ciągle w tym domu, którego kierunek spadł nagle na istotę tak młodą i niedoświadczoną.

Pani d'Astiville jeszcze słodsza i bardziej nadskakująca jak przedtem, oświadczyła prawie gotowość wyręczenia młodej kuzynki, ale Emelina która nie lubiła baronowej podziękowała jej za dobre chęci.

Trudno sobie wystawić oburzenie baronowej, kiedy się przekonała że pomimo jej zabiegów, nie ona ale pan de Madiran pozyskał zaufanie i przyjaźń bogatej panny d'Anglejean.

— Ci intryganci gotowi opanować ją zupełnie! pomyślała, rozżalona zarówno na ojca którego mało znała, jak i na syna wcale jej nieznanego.

Nadeszła wiosna, a w dwóch sąsiadujących z sobą pałacach, nikt nie pomyślał że już czas wyjechać na wieś.

Jakkolwiek hrabina d'Anglejean miała się już znacznie lepiej, nie opuszczała jeszcze łóżka, a pan de Madiran zapomniał prawie że ma dobra w Szampanii w których obecność jego była potrzebną.

Straszną była dla Cezaryny chwila w której odzyskała przytomność. Silna jej natura zwyciężyła gorączkę, przetrwała straszne cierpienia, teraz rozpoczęła się walka z rozpaczą.

Chciała się zobaczyć w lustrze taką jaką była obecnie, z wyschłemi teraz i pokurczonemi rękami, a tak pięknemi niedawno jeszcze, że zachwycały rzeźbiarzy!... z szyją zeszpeconą i biustem dziś pokrytym głębokimi szwami, przypominającymi świeżo uprawioną rolę, a przed tym tak białym, tak ślicznie utoczonym!... z głową dawniej ozdobioną pysznemi włosami, a na której teraz pozostały tylko miejscami krótkie ich kosmyki!

Wśród tego ogólnego spustoszenia jedna tylko twarz nie straciła nic ze swej piękności, wyidealizowanej jeszcze przez cierpienia. Ten dowód względności dotykającej ją klęski, wywołał lekki uśmiech na jej usta.

Przez cały czas swej długiej i strasznej choroby, widziała zawsze przy sobie cztery życzliwe twarze: córki, Ludwiki, doktora i pana de Madiran.

— Więc wy możecie patrzyć na mnie bez wstrętu? zapytała w końcu.

— Kochamy cię zawsze jednakowo, odpowiedziała Emelina.

— I pragniemy tylko aby pani hrabina odzyskała zdrowie, dodała Ludwika.

— Dziękując Bogu że na tem się tylko skończyło, powiedział doktór.

— Ogień okazał się pochlebcą, względem pani hrabiny, odezwał się z uśmiechem pan de Madiran, znający najlepiej jej usposobienie.

Nie mylił się; odpowiedź jego była dla niej najprzyjemniejszą i najbardziej pocieszającą.

Pewnego dnia nakoniec zapytała kto ją wyratował z ognia. Panna d'Anglejean wymieniła nazwisko Roberta, uciesżona że mogła nakoniec uwiadomić o tem matkę.

Na twarzy hrabiny odmalowało się głębokie zadziwienie.

— Pan Robert!... Wszakże on nie był na balu?

— Tak, ale zobaczywszy pożar przez okno swego pokoju, przeskoczył przez mur ogrodowy, i rzucił się w płomienie aby wyratować z nich ciebie droga matko.

Cezaryna pochyliła głowę, jak gdyby chciała ukryć żal że jej w nich umrzeć nie dozwolił, a po chwili odezwała się z wyrazem smutku i zniechęcenia.

— Powiedz mu że jego czyn szlachetny, przez który zostałam skazaną na życie nędznej, zeszpeconej kaleki. obudził we mnie więcej podziwu niżeli wdzięczności.

— A! mamo! zawołała Emelina; żywo dotknięta tą niesprawiedliwością; o mało sam nie utracił życia ratując ciebie, a ty nie błogosławisz go za to?

— Sądzę że twoje podziękowanie, jeżeli będzie równie gorące jak obecnie obrona, podoba mu się więcej niżeli te, na jakie ja mogłabym się zdobyć.

— Jednak ty droga matko...

— Ja jestem już wykreślona z liczby osób żyjących; nikt już widzieć mnie nie będzie.

— Jakto! Co mówisz matko?...

— Zdaje mi się że to łatwe do zrozumienia.

— O! nie, nie... skoro ja cię zrozumieć nie mogę.

— Słyszałaś zapewnie że nazywano mnie niekiedy „piękną hrabiną d'Anglejean.“

— Nazywano cię tak zawsze, droga matko.

— A więc teraz zostanę „niewidzialną hrabiną.“

— Nawet dla twego wybawcy?

— Nadewszystko dla mego wybawcy.

— Czy to być może, mamo?... Nie podziękujesz nigdy panu Robertowi?

— Nidy, odpowiedziała ponuro hrabina, gdyż uczyniłby stokroć lepiej, gdyby mnie był zostawił w płomieniach.

Przerażona słowami matki Emelina, udała się do swego pokoju aby zapłakać swobodnie nad utratą miłego marzenia; ona łudziła się dotąd że matka potrafi ocenić poświęcenie Roberta, i z przyjemnością powita go w swym domu.

Od tego dnia nie wspominano już prawie Roberta, ale Emelina czuła się upoważnioną do okazywania mu żywszej jeszcze wdzięczności, skoro ona jedna tylko wyrażać ją mu miała.

Wraz z powracającem zdrowiem hrabiny rozpoczęło się tak dla matki jak dla córki nowe i dziwne życie. Jakby Opatrzność chciała aby panna d'Anglejean spotykała na swej drodze coraz więcej cierni.

Hrabina postanowiła zupełnie odłączyć się od świata, i zamknąć się na resztę życia w swym pałacu, jak w dobrowolnem, ale z największym przepychem urządzonem więzieniu.

Stosownie do jej rozkazu oddalono połowę służby, sprzedano powozy i konie. Nie myślała już nigdzie wyjeżdżać i nie chciała nikogo przyjmować. Ogród pałacowy otoczono wysoką drewnianą kratą i obsadzono gęsto pnącemi się roślinami, które miała tworzyć zasłonę zabezpieczającą ją od ciekawych sąsiadów.

Prócz tego do około ogrodu urządzono szpaler ocieniony z wierzchu, aby tam nie mogło się przedrzéć żadne natrętne spojrzenie, a coś podobnego do wielkiej i kosztownie urządzonej oranżeryi, miało służyć za miejsce do przechadzki w porze zimnej lub słotnej.

Co do zabaw i rozrywek, te miały być zupełnie odmienne od tych za któremi hrabina uganiała się dawniej. Ta kobieta która dotąd nic prawie nie czytała, kazała sobie urządzić ogromną bibliotekę, i zawiadomić wszystkich wydawców w Paryżu, aby jej przysyłali wszelkie bez wyjątku nowości wychodzące ich nakładem.

Ta kobieta która już od pewnego czasu zarzuciła muzykę, chciała mieć wszystko co tylko najnowszego mógł dostarczyć *Ménestrel*, nie licząc mnóstwa znanych już partycyi.

Zaprenumerowała wszystkie wychodzące w Paryżu dzienniki, nie zrażając się wcale stosami zadrukowanego papieru, literaturą niestrawną, polityką najróżnorodniejszych odcieni, które tym sposobem dostawały się do jej domu.

Wyznaczyła oddzielnego służącego do roznoszenia jałmużny wskazanym przez nią osobom, a do odźwiernego posłała księgę w której mogły się zapisywać osoby potrzebujące wsparcia.

Jeden z największych salonów przeznaczyła na salę koncertową i teatralną, gdzie z ukrycia miała słuchać śpiewu i muzyki, lub być obecną na przedstawieniach teatralnych, dawanych przez najulubieńszych artystów.

Na to wszystko trzeba było tylko pieniędzy, a w pałacu d'Anglejean było dużo pieniędzy, ale szczęścia mało.

Emelina zgodziła się bez szemrania na te dziwne zmiany, stanowiące nowy dowód samolubstwa matki, skazującej ją w kwiecie wieku na więzienie na czas nieograniczony. Ludwika płakała z gniewu i oburzenia, a wkrótce zaczęła wylewać łzy żalu, kiedy kapitan Rovelou zawezwał ją aby wracała do domu.

Napróżno poczciwa dziewczyna błagała aby jej pozwolono podzielać smutny los Emeliny, Rovelou odpisał że sędziwa i osłabiona matka potrzebuje koniecznie jej opieki, i Ludwika nie śmiała opierać się dłużej.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 32.

N. 2. Kapelusz z wielką kokardą.

Pamela z włoskiej słomki ma brzeg ronda oszyty słomkową torsadą a przód podgarnirowany marszczonym białym atłasem. Wielka kokarda z szerokiej atłasowej wstążki dana z wierzchu główki, poniżej zaś do przodu przypięty wianeczek z konwalii i polnych kwiatków.

N. 3. Kapelusz z tiulowemi końcami,

Główka białej bastowej kapotki opasana dwoma skosami żółtawego atłasu po 25 cent. szerokości, które z tyłu łączą się pod tiulowemi końcami a z przodu spięte są rozetą ze złotej koronki 5 centym. szerokiej, zapełnioną w środku trzema różami. Rondo podszyte czarnym aksamitem; końce tiulowe jedwabne 95 cent. długie 65 szerokie.

N. 4. Kapelusz upięty z kwiatów.

Rycina 4 przedstawia niezmiernie strojny model kapelusza upiętego z kwiatów. Fason ten ze sztywnego tiulu pokryty jest repsem koloru heliotropu, dyądem zaś 5 cent. wysokości, powleczony ciemniejszą materyą i naszyty torsadą słomkową, ładnie odbijającą od ciemnego tła. Efektowne i oryginalne pokrycie kapelusza stanowią drobne kwiatki, spadające na miękich łodyżkach. Końce z koronki langwedockiej.

N. 5. Serweta na komodę. Deseń wyszycia krzyżykami na arkuszu Fig. 60 — 61.

Za materyał na tło służyć może sukno, kanwa jawa, żółtawe płótno lub t. p. Szlak 20 cent. szeroki wyszyty jedwabiem, włóczką crewel lub bawełną w dwóch cieniach; zęby dolne zakończone są dzierganiem i poszyte nicianą koronką.

N. 6. Serweta. Kratka ażurowa i wyszycie krzyżykowe.

Na ryc. 6 przedstawiamy ładny model serwety ozdobionej krzyżykowym szlakiem, szeroką plisą pluszową i ażurową kratką; za tło służy kwadratowy kawałek kanwy de congrés 80 cnt. długi, przy obrębie ozdobiony szlaczkami z kratki ażurowej 3 cent. szerokiemi. Wyszycie krzyżykowe do którego desenie znajdują się prawie w każdym N-rze, odrobione kolorową filozelą, dzieloną po dwie nitki. Prosta, 5 cent. szeroka plisa z jedwabnego pluszu w odpowiednim do mebli kolorze



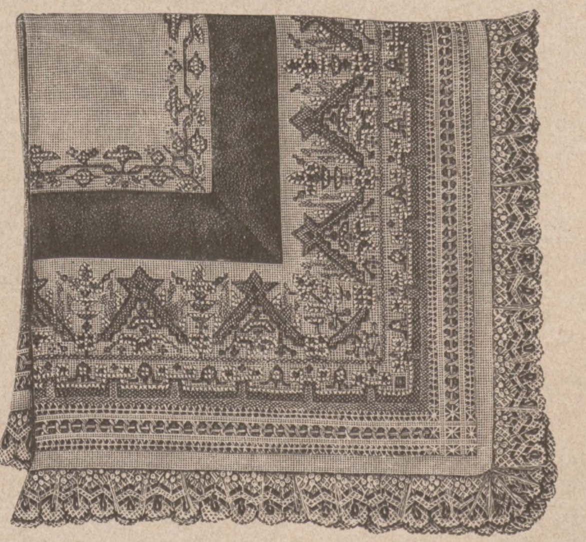
N. 2. Kapelusz z wielką kokardą.

N. 3. Kapelusz z końcami tiulowemi.

N. 1. Neapolitański czepeczek negliżowy. Tył na ryc. 9 w N-rze 31.
N. 4. Kapelusz ubrany suto kwiatami.



N. 5. Serweta na komodę albo stolik do szycia, ozdobiona haftem krzyżykowym. Desenie na Fig. 60—61.



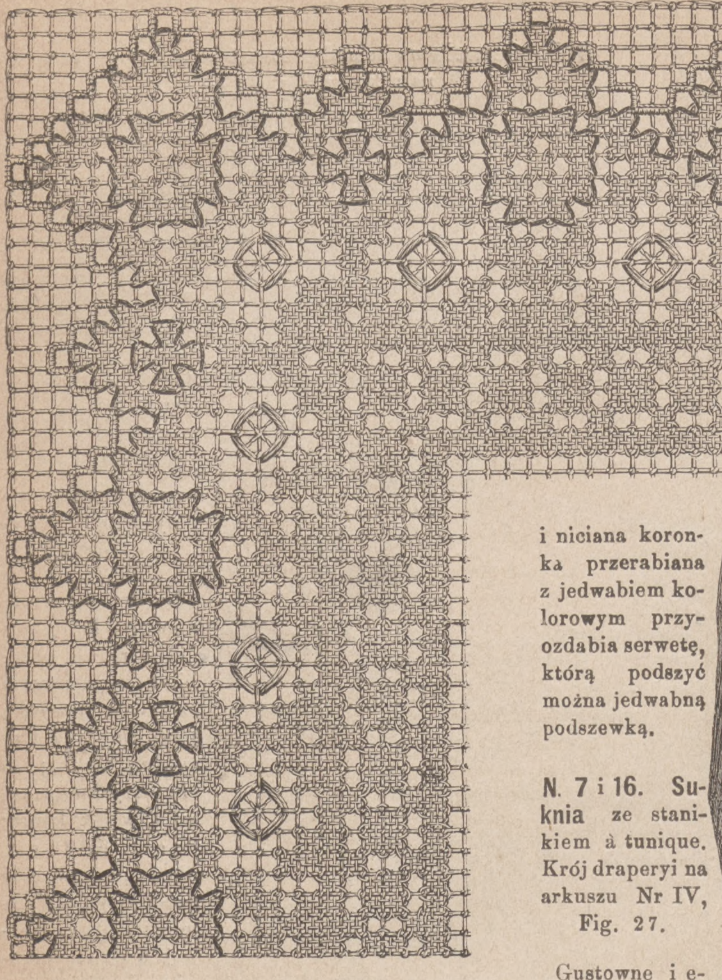
N. 6. Serweta ozdobiona haftem krzyżowym i kratkami ażurowemi.



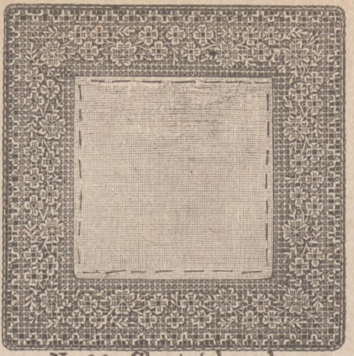
N. 7. Ubranie ze stanikiem z baskiną tunikową z tyłu. Przód na rycinie 16. Krój draperyi tunikowej Nr VI, Fig. 27.



N. 8. Suknia ze stanikiem à panier. Przód na ryc. 36 w N-rze 31.



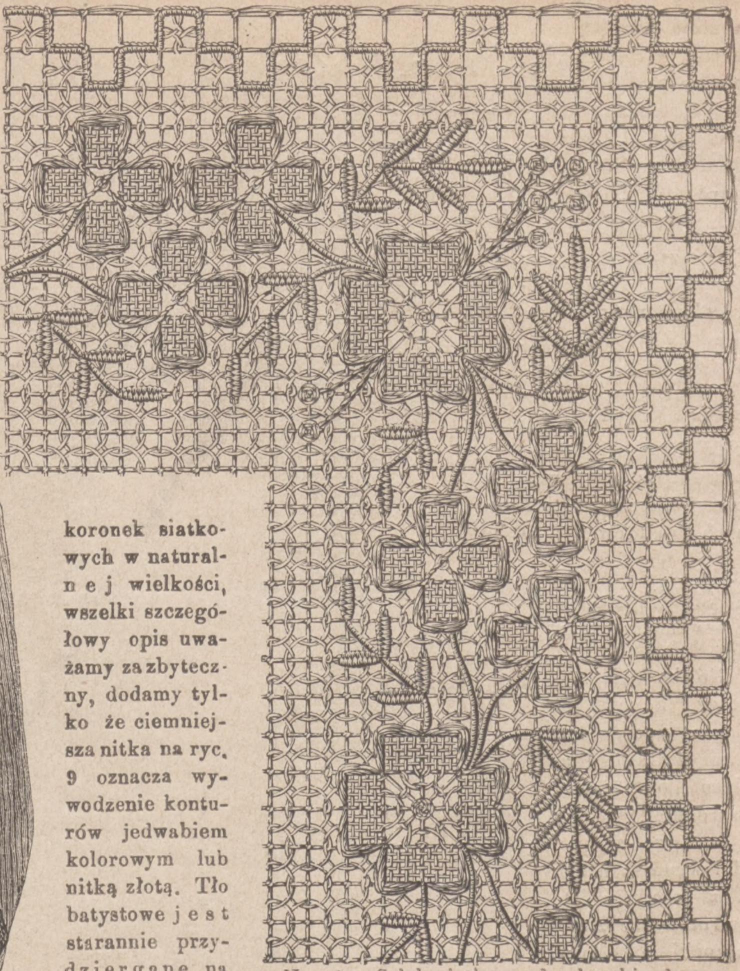
N. 9. Szlak siatkowy do chustek od nosa.



N. 11. Chusteczka od nosa. Szlak na ryc. 10.



N. 12. Kaftanik męzki z boku zapinany. Krój Nr XI, Fig. 56—58.



N. 10. Szlak siatkowy do chustki od nosa rycina 11.

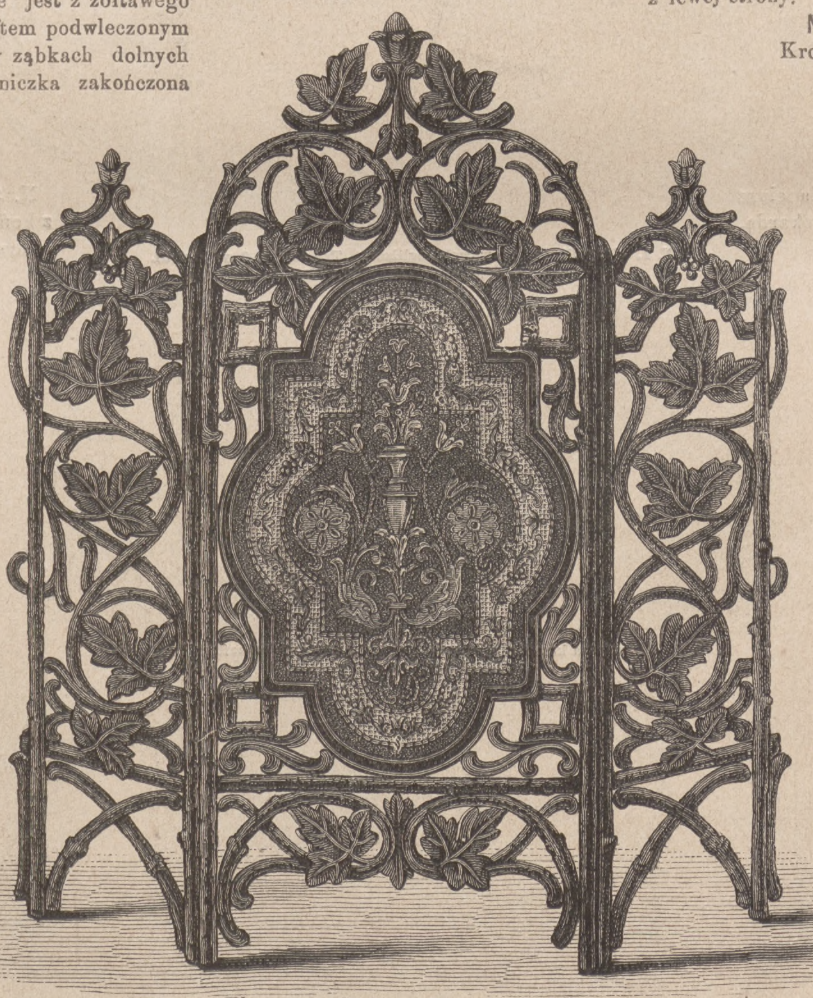
i niciana koronka przerabiana z jedwabiem kolorowym przyozdabia serwetę, którą podszyć można jedwabną podszewką.

N. 7 i 16. Suknia ze stanikiem à tunique. Krój draperyi na arkuszu Nr IV, Fig. 27.

Gustowne i efektowne ubranie przedstawione z przodu i z tyłu na ryc. 7 i 16 wykończone jest z żółtawego kaszmiru indyjskiego i ozdobione ażurowym haftem podwleczonym ponsową materyą, 15 i 7 cent. szerokim, przy ząbkach dolnych podszytym koroneczką 5 cent. szeroką. Spódniczka zakończona drobniutkiem plisowaniem jedwabnem 5 cent. szerokiem i plisowanemi kaszmirowemi falbankami, 15 cent. szerokiemi. Draperya przednia przykrojona podług części *a* na Fig. 27, jest środkiem zszyta i trzy razy w równych odstępach przemarszczona w nagłówki po 2 centym. szerokie, z boków zaś sfałdowana do 88 cent. Prosta tylna część *b* przykryta w połowie tunikową baskiną spadającą od pleców, fałduje się podług znaków i przyczepia na tylnym brycie spódnicy. Litery *c* i *d* wskazują części pleców z których każda połowa jest odmienną; część *c* jest u dołu ofałdowana do 6 cent. wszyta w pasek dziurką opatrzony, która zapina się na guzik, przyszyty w odstępie 46 c. od paska sukni Krzyżyki i kropki wskazują ufałdowanie części *d*, podpiętej z tyłu kokardą z atłasowej ponsowej wstążki 7 cent. szerokiej. Przody stanika są naddane na przemarszczane zapięcia z boku. W około sukni widzimy sutą riuszę z ponsowej materyi i na ramionach kokardy.

N. 9—11. Chustka z koronką z siatki gipiurowej.

Załączając na ryc. 9 i 10 dwa wzory koronek siatkowych w naturalnej wielkości, wszelki szczegółowy opis uważamy za zbyteczny, dodamy tylko że ciemniejsza nitka na ryc. 9 oznacza wywodzenie konturów jedwabiem kolorowym lub nitką złotą. Tło batystowe jest starannie przydziergane na siatce poczem takową wycina się z lewej strony.



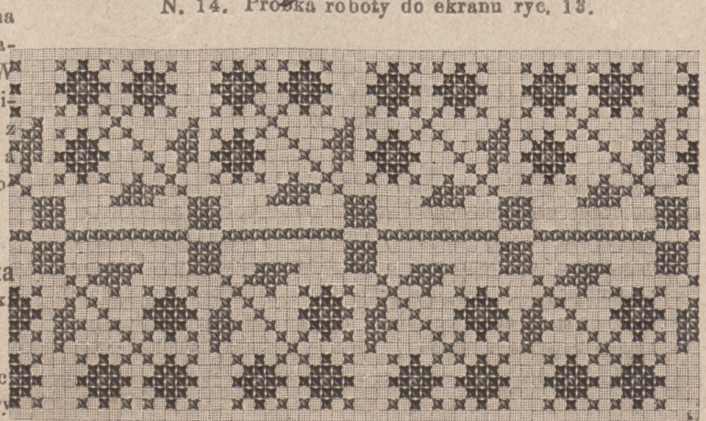
N. 13. Ekran przed piec. Deseń na arkuszu Fig. 29.



N. 14. Próbka roboty do ekranu ryc. 13.



N. 15. Ubranie ranne składające się ze spódnicy i stanika paletocikowego. Krój i widok pleców na arkuszu z formami Nr 1 Fig. 1—7 i 28.



N. 17. Szlak haftem krzyżykowym do parasolików, serwet i t. p.

N. 12. Kaftanik męzki zapięty z boku. Krój na arkuszu Nr XI, Fig. 56 — 58.

Noszony pod ubraniem dla ciepła, szyje się z białej lub popielatej flaneli a wykład przedni i mankiety z flaneli w kolorowe pasy. Co do odszycia kaftana powiemy tylko że na wierzch zachodząca lewa połowa przodu kraje się w całej szerokości, brzeg zaś przedni prawej połowy zachodzi pod wykład; rękaw od 4 do 8 jest tylko zaobrąbiony lecz nie wszyty w pachę.

N. 13—14. Ekran. Haft z podkładaniem; deseń na arkuszu Fig. 29.

Składa się z trzech ścianek ruchomo osadzonych, wyrzeźbionych ozdobnie z drzewa i liczących 125 c. wysokości środkowej i 104 c. szerokości. Medalion wśrodkowej ściance odrobiony na tle jedwabnego pluszu ciemno oliwkowego koloru w stylu renaissance; Fig. 29 załącza połowę środkowego deseniu i czwartą część szlaku aplikowanego z matelassé koloru vieil-or. Do haftu użyta filozela dzielona po dwie nitki; arabeski w kształcie liści są oliwkowe i blado niebieskie, arabeski kwiatowe są bronzowe i zielonawe; kropki różowe do cieniu. Aplikacya figur środkowych dana z atłasu pie-



N. 16. Ubranie ze stanikiem z tunikową baskiną. Plecy na ryc. 7. Krój Nr VI, Fig. 27.

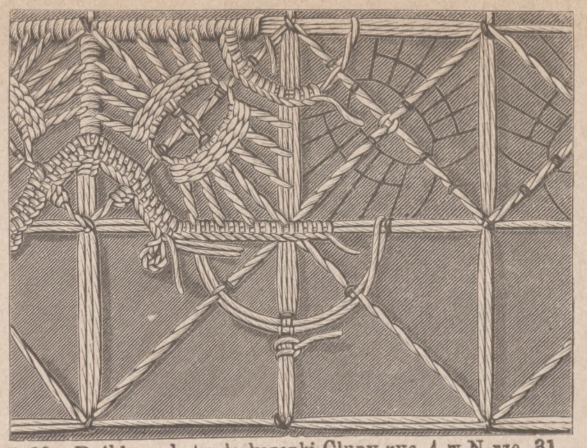
bieskiego i różowego; wszystkie korzonki i zakręty odrobione w sposób wskazany na ryc. 14, środkiem naszywa się sznureczek jedwabny vieil-or, z obu zaś stron dane dwie nitki jedwabne oliwkowe.



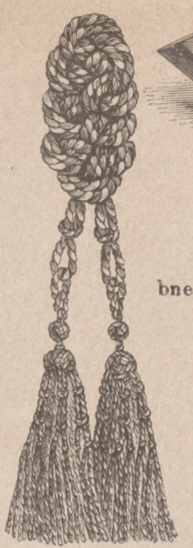
N. 18. Guzik okrągły porcelanowy.



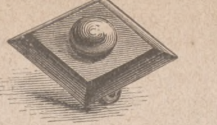
N. 21. Agrafa szmuklerska z kwastem do ryciny 23.



N. 20. Próbka roboty do koronki Cluny ryc. 4 w N-rze 31.



N. 22. Ozdoba szmuklerska z kwastami do ryc. 23.



N. 19. Guzik kwadratowy z lawy.

N. 15. Ubranie ranne. Krój na arkuszu Nr I Fig. 1 — 7.

Odrobione z beżu, płótna écru lub granatowego i t. p. z przybraniem bardzo skromnem służyć może również jako ubranie podróżne. Model był z beżu w drobną kratkę przestębnowany ciemnym jedwabiem; spódnica niesięgająca ziemi, z tyłu zaplisowana do 80 cent. wzdłuż, z boków i z przodu falbana liczy 25 cent. Dla braku miejsca paletocik ma formę przodów podaną w 2-ch częściach; odszycie nie potrzebuje opisu. Przy szwie łączącym Fig. 2 i 3 od C do D wystająca część materyału od E do F załamana jest w fałdy przyciśnięte czterema guzikami. Pasek dodany tylko z przodu.



N. 24. Sukienka dla małej dziewczynki. Przód na ryc. 32.



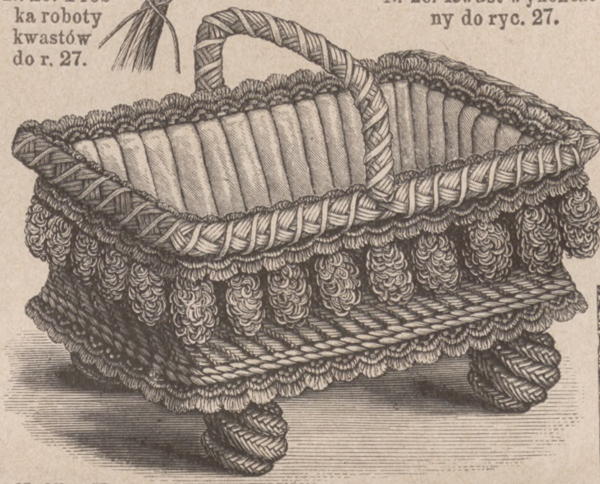
N. 25. Próbka roboty kwastów do r. 27.



N. 26. Kwast wykończony do ryc. 27.



N. 28. Ścieg gobelinowy do r. 30.



N. 27. Koszyczek do robót z haftowanem dnem, ozdobiony kwastami. Patrz ryc. 25—30.



N. 29. Kratkowy ścieg do ryc. 30.

N. 21—23. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu Nr II, Fig. 8 — 10a.

Suto przybrany frendzlą i sznurami, może być z tureckiego lub z gładkiego jasno kolorowego materyału, na podszewce jedwabnej lub bez takowej. Fig. 8—10 załączają części formy w naturalnej wielkości, zaś zestawienie ich z sobą ułatwia zmniejszony format Fig. 8a—10a. Najpierw daje się szwy na ramionach od R do S, poczem dalej łączy spodnią część rękawa Fig. 10, z częścią zwierzchnią krajaną wraz z plecami od T do V i od V do W poczem od S do T zszywa ją się z przodem. Przody z plecami łączą się z boku od V do X; wykrój szyi otacza pasek 3 cent. szeroki.



N. 23. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój Nr II, Fig. 8—10. Patrz ryc. 21—22.

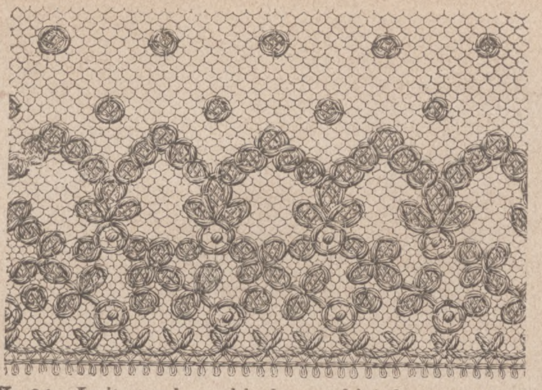


N. 30. Haft różnokolorowy na dno do koszyczka rycina 27. Próbki ściegów do zapełnienia tła w kwiatach i liściach ryciny 28 — 29.

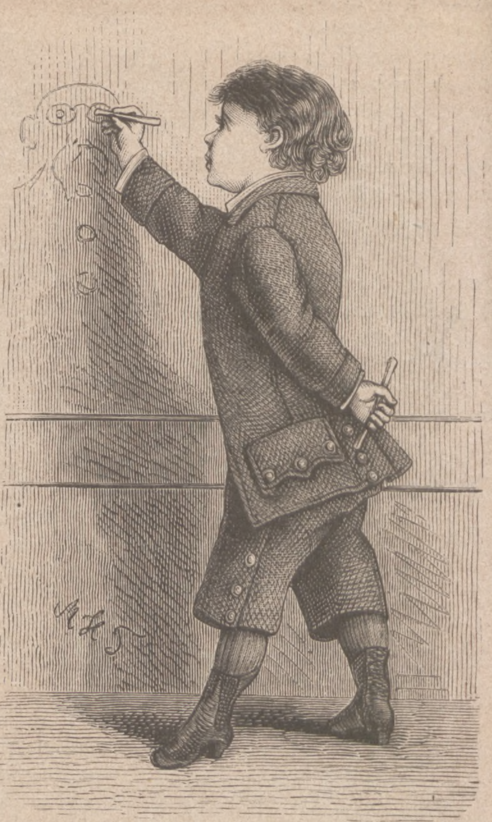


N. 32. Sukienka dla małej dziewczynki ozdobiona haftem krzyżykowym. Plecy na ryc. 24.

Przody zapinają się na szmuklerskie agrafki z kwastami, jakie oddzielnie wskazują ryciny 21 i 22.



N. 31. Imitacya koronki alansonskiej do ryc. 5 w N. 31. Cerowanie na tiulu.



N. 33. Majtki, stanik i żakieta dla chłopczyka lat 6—8. Krój Nr X, Fig. 47—57.



N. 34. Ubranie podróżne. Opis w N. 33. N. 35. Ubranie dla panienki.

N. 24 i 32. Sukienka dla dziewczynki.

Ryciny 24 i 32 przedstawiają przód i plecy sukienki ozdobionej wyszyciem krzyżykowem pons owem na tle białem lub na ponsowem. Sukienka którą opisujemy była z materyału w drobniutką krateczkę „dimiti“ przez co wyszycie niezmiernie ułatwione i nie trzeba już podkładąć kanwy, która konieczną jest przy wyszywaniu krzyżyków na tle gładkiem. Zapięcie sukienki formą princesse dane niewidocznie z boku pod plastronem; boczki i plecy dopełnione u dołu plisowaniem 29 centym. szerokiem.



N. 40. Ubranie dla niedorosłej panienki złożone ze spódniczki i stanika paletocikowego. Krój N. III Fig. 11-17.



N. 36 — 39. Cztery chustki do nosa z kolorowemi szlakami.

N. 25—30. Koszyczek do robót z haftowanem denkiem i przyozdobieniem z kwaścików.

Koszyczek drobno pleciony, lakierowany na bronzowo liczy bez pałączka 17 centym. wysokości, 25 szerokości a 33 długości; z wierzchu prócz kwaścików dane 3 cent. szerokie fabryczne torsadki jasno niebieskie z oliwkowym. Kwaściki związane z hamburgskiej włóczki i nici przedstawia ryc. 26 w małem zmniejszeniu, sposób zaś wiązania frendzli potrzebnej na nie wskazuje ryc. 25. Trzeba wziąść trzy nitki hamburgskiej włóczki, w trzech cieniach oliwkowych, tudzież mocną nitkę do wiązania i te cztery nitki nawiązywać cieniutkiem drucikiem w pentelki $1 \frac{1}{2}$ cent. długie. Na kwaścik przymocowany do sznureczka 5 cent. długiego, potrzeba nawiązać pentelek na 11 wzdłuż i kawałek ten zwinięty w kwaścik jak na ryc. 26 zamocowywa się niewidocznemi ściegami.

(d. n.)



N. 41. Ubranie ranne dla młodej panienki. Krój i opis na arkuszu z formami Nr IX, Fig. 43 i 46a.